PD1668IV

BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

PAX

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 5 czerwca 1955 r. Nr 22 (496)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CIV 9013

WOJCIECH WIECZOREK

O KULTURZE INACZEJ

OD pewnego czasu dyskutuje się wiele o sprawach kultury. Ton tych dyskusji jest na ogół cierpki, prawie nieodmiennie nabrzmiewa nutami żalów i utyskiwań. Powiedzmy sobie otwarcie — utyskiwań w dużej mierze uzasadnionych, potrzebnych i słusznych. Słusznie wytknięto błędy polityki kulturalnej, potrzebne było ujawnienie trudności i niedomagań środowisk twórczych, słusznie wreszcie przeprowadzono krytykę w pełnym świetle dnia, zapraszając do udziału szeroki ogół niewtajemniczonych. Pod jej obstrzałem nie ostały się ani literatura, ani film, ani plastyka, ani architektura. Nie przepuszczono chyba żadnej dziedzinie twórczości. Doszło wreszcie do tego, że o samej krytyce zaczęto pisać w tonacji coraz bardziej krytycznej. Powiedzmy sobie znowu — nie bez pewnych uzasadnionych racji.

Nawiązując do publicystycznych polemik toczących się wokół zagadnień kulturalnych, chciałbym jednak z góry zastrzec się, że nie pretenduję do stawania w szranki. Nie jest moim zamiarem ani dolewanie oliwy do ognia, ani też wylewanie łez nad zwyżkującą nieraz — i stąd zdradzającą gdzieniegdzie chorobliwe symptomy — temperaturą dyskusji. „Wybuchła" ona wraz z rozcięciem nieprzyjemnego wrzodu zatruwającego zasadniczo prawidłowy obieg krwi w organizmie naszej kultury narodowej. Rzecz jasna, operacja taka musiała wywołać stany gorączkowe, musiała zwłaszcza wywołać wypieki na twarzach niektórych, bardziej nerwowych kibiców kultury. Zastrzegając się więc co do swego udziału w dyskusji, może nie „wielkiej", ale w każdym razie naturalnej i zrozumiałej, spieszę dodać jeszcze, że nie czynię tego z jakichkolwiek generalizująco negatywnych uprzedzeń, nabytych pod wpływem zdarzającego się, w miarę uciesznego, w miarę zdumiewającego, hydrologiczno - meteorologicznego słownictwa tejże dyskusji. O kulturze będę jednak pisał inaczej. Niewątpliwie, można o niej bez końca. Można również w różny sposób, starając się naświetlić coraz to inne aspekty tej szerokiej w swym zakresie sfery rzeczywistości.

Przechodząc do *meritum*, powinienem uczynić jeszcze jedno zastrzeżenie. Uwagi moje nie będą uwagami publicysty od spraw kultury. Rejony te są dla mnie, *ex professo*, raczej odległe. Będą to zatem uwagi człowieka niepostronnego tylko w tym sensie, że — podobnie jak wielu innych tzw. konsumentów kultury — żywo zainteresowanego w jej rozwoju.

JUŻ sam termin „rozwój kultury" nasunąć może dwojakiego rodzaju skojarzenia. Podczas gdy jedni tłumaczyć go będą jako doskonalenie twórczości, inni — z równą słusznością — będą upierać się, że chodzi o upowszechnienie kultury. Rację mają oczywiście i jedni, i drudzy. Są to bowiem dwa aspekty tego samego procesu rozwojowego. Chciałbym jednak zwrócić uwagę czytelników przede wszystkim na ten drugi aspekt, tzn. na sprawy upowszechnienia kultury.

Nie mam pod ręką statystyk, z których mógłbym zaczerpnąć dane dotyczące np. przebiegu walki z analfabetyzmem, wysokości nakładów wydanych w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu dobrych książek, rozwoju sieci świetlic, radiofonizacji kraju, ilości zorganizowanych w tzw. terenie imprez artystycznych, wystaw objazdowych, rozwoju szkolnictwa wszystkich stopni itp. Ale nie chodzi mi zresztą o dane statystyczne. Nie zamierzam dokonywać szczegółowego bilansu osiągnięć i błędów popełnionych w dziedzinie upowszechniania kultury. Chciałbym przede wszystkim zwrócić uwagę na pewne ogólne prawidłowości i warunki, nieodzownie konieczne dla skutecznego realizowania tego postulatu. Rozwój kultury bowiem — posłużę się oklepanym, ale niemniej słusznym truizmem — podlega, wraz z rozwojem całokształtu zjawisk historycznych, złożonym uwarunkowaniom. Uwarunkowania te dotyczą zarówno twórczości, jak i jej upowszechniania. Jednym słowem — uwarunkowaniom podlega nie tylko powstawanie i rozwój samych wartości kulturalnych, ale także społeczny zasięg ich oddziaływania. I zasadniczo, zasięg oddziaływania wartości kulturalnych określa to, co w potocznym języku nazywamy wyrobieniem kulturalnym społeczeństwa. Chyba nie wzbudzi zastrzeżeń stwierdzenie, że wyrobienie kulturalne społeczeństwa jest w zasadzie ściśle uzależnione od jego dobrobytu.

Jest to niewątpliwie stwierdzenie bardzo ogólne. Sądzę jednak, że jest uogólnieniem wystarczającym do swobodnego poruszania się w interesującej nas dziedzinie, jeśli tylko nie będziemy interpretować go w sposób powierzchowny i szablonowy.

NIE ulega wątpliwości, że ubóstwo materialnych warunków życia nie sprzyja — w skali społecznej — wzrostowi zainteresowań kulturalnych. Przeciętnemu, tzw. szaremu człowiekowi, pochłoniętemu walką o byt, nie starcza zazwyczaj czasu i ochoty na „bezinteresowne" wgłębianie się w tajniki wiedzy i piękna. Głosić więc postulat upowszechnienia kultury, abstrahując równocześnie od zaspokajania podstawowych potrzeb materialnych całego społeczeństwa, to tyle, co deklarować swoje pobożne życzenia, bez nadziei, by kiedykolwiek zostały spełnione. Ale również bałamutny byłby pogląd, że realizować dobrobyt, to znaczy — automatycznie podnosić poziom kultury. Być może, są jeszcze naiwni, którzy tak właśnie wyobrażają sobie tę współzależność i dziwią się, że niby jak to? Jest np. świetlica, w świetlicy są książki, czasopisma, radio, a młodzi ludzie — również nieobdarci i niewychudzeni — chuliganią się w najlepsze. Pesymiści będą się oczywiście martwić, złośliwi — wymyślać złośliwe dowcipy, zaś reakcjoniści — cieszyć się i utrzymywać, że z tym upowszechnianiem to w ogóle zasadnicze nieporozumienie. W rzeczywistości zaś możemy mieć do czynienia co najwyżej z nieporozumieniem zupełnie innego rodzaju, choć niewątpliwie dającym się nieraz dotkliwie odczuć. Rzecz bowiem w tym, że polepszające się warunki materialnego bytu są tylko materialnymi warunkami, sprzyjającymi podnoszeniu się poziomu kulturalnego społeczeństwa. Dostrzegając istniejącą tu współzależność, nie wolno jej wulgaryzować. Odpowiednie warunki tworzy się po to, by je umiejętnie i właściwie spożytkować w interesie rozwoju osobowości człowieka. Same przez się nie „zadziałają".

Ludzie, którzy stosunkowo do niedawna nie mogli, jak się to mówi, „związać końca z końcem", i wreszcie znaleźli się w mniej więcej znośnych warunkach materialnych, mogą już „pozwolić sobie" na kulturę. Tak, mogą, ale nie muszą. Mając wolny czas i „wolne" pieniądze mogą np. przekładać knajpę nawet nad dobry film, dobrą książkę czy salę koncertową. Bywa, że zdrzemną się w teatrze, nawet jeśli się zdarzy dobra sztuka. Może popadam w krańcowość, uogólniam fakty nietypowe i mimo woli jestem niesprawiedliwy wobec tych, którzy, jakiekolwiek mieliby przywary, zawsze bardziej zasługują na szacunek niż na niewczesne kpiny. Powołuję się na te niewątpliwie jednak zdarzające się, choć smutne fakty bynajmniej nie w celu załamywania rąk i jałowego moralizowania. Brak zainteresowań kulturalnych, nierozbudzona wrażliwość estetyczna czy poznawcza — to jeszcze nie powód do potępienia. Od kogoś, kto w kręgu spraw kultury stawia dopiero — na ogół nie ze swej winy — pierwsze kroki, trudno od razu wymagać, by umiał korzystać z dóbr, które w coraz to większym stopniu są mu udostępniane. Kultury trzeba się uczyć. W tym celu państwo łoży poważne kwoty. W tym celu zostały powołane odpowiednie organy, których zadaniem jest zarówno opieka nad twórczością, jak i rozbudzanie zainteresowań kulturalnych w całym społeczeństwie. Czy wszelkie istniejące po temu środki i możliwości są zawsze w pełni wykorzystywane? Niewątpliwie, zrobiono już wiele, ale ile z tych możliwości zaprzepaszczono? A że zaprzepaszczono, świadczy choćby poruszony już marginesowo problem chuligaństwa. Zgadzam się przy tym z M. A. Wasilewskim („Dziś i Jutro" nr 13/487 — „Penicylina na chuligaństwo"), że istota rzeczy polega nie na pojawieniu się zjawiska chuligaństwa — odegrały tu poważną rolę bakcyle minionej wojny i okupacji — ile na fakcie, że pozostaje ono ciągle niepokojąco zaraźliwą chorobą społeczną.

Zmierzam do tego, że polityka kulturalna, jeśli mądrze wykorzystuje dane możliwości, jest kolejnym, w pewnym sensie wtórnym, ale nieodzownie koniecznym i samym przez się ważnym warunkiem skutecznego realizowania postulatu upowszechnienia kultury. Do niej należy m. in. dobór najwłaściwszych środków i metod udostępniania wartości kulturalnych społeczeństwu. Jej zadaniem jest umiejętne rozbudzanie coraz bogatszych zainteresowań kulturalnych w szerokich kręgach społecznych, faktyczne rozszerzanie zasięgu oddziaływania wartości kulturalnych. Warunek ten jest o tyle trudny do spełnienia, że jest ono zależne nie tylko od słuszności ogólnych założeń, ale także od istnienia kadr odpowiednio wykwalifikowanych, szeregowych pracowników kultury, które przecież nie

(Dokończenie na str. 2)

Rys. Jerzy Olklewicz: Bystrzyca Kłodzka

Gdyby malarze zamiast wzdychać pojechali np. do Bystrzycy Kłodzkiej — ślicznego miasteczka niedaleko czeskiej granicy — zobaczyliby, że można się zupełnie obejść bez Włoch, że w naszych granicach znaleźć można obiekty równie atrakcyjne i równie malownicze.

Patrz reportaż na str. 8: — Pejzaże nienamalowane ⟶

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

W POSZUKIWANIU „SZALEJĄCEGO REPORTERA"

OD pewnego czasu konkursy literackie, plastyczne, muzyczne stały się niezwykle modne. Ich ilość jest — powiedzmy oględnie — zastanawiająca. Ktoś wszechstronnie uzdolniony, np. małe wydanie wielkiego Leonarda lub Norwida, mógłby z powodzeniem przez okrągły rok trudzić się wyłącznie przygotowywaniem prac na „jakiś" aktualny konkurs.

Ilość konkursów jest jednak niewspółmierna do otrzymywanych rezultatów. Stało się już pewnego rodzaju niepisaną regułą powiedzenie, że niemal każdy konkurs, bez względu na jego rodzaj, treść i charakter, nie wyzwala nowych, błyszczących talentów, nie ukazuje ciekawego odkrycia, które byłoby skutkiem jego inspiracji. Fakty potwierdzają raczej tę tezę, co nie przeszkadza dalszemu mnożeniu faktów. Wielka liczba konkursów obniża ich znaczenie.

Jakie są następstwa tego zjawiska?

Zwróćmy uwagę na dość charakterystyczną cechę konkursów literackich — na absencję w nich pisarzy „pierwszego" rzędu. Pisarze i publicyści o ustalonej już randze artystycznej biorą zazwyczaj niechętnie udział w otwartych konkursach. Absencja ta nie wynika tylko z pozy, która nakazywałaby „szanować się" wybitniejszym piórom. Niewątpliwie, poważną rolę w absencji „zawodowych" literatów w konkursach otwartych odgrywa pobłażliwość, jaką darzą śmiałe próby „amatorów". Sukces w takim konkursie nie zaspokaja ich ambicji. Co innego konkurs zamknięty! Już same rekwizyty znamionują turniej co najmniej o nagrodę „złotych rękawic". Wzięcie udziału w takim turnieju, poprzedzone osobnym zaproszeniem, niemal całym ceremoniałem przyjemnych słów, starcie się w doborowym towarzystwie — stwarza aurę dreszczu nawet dla wytrawnych literatów.

Jednak nie tylko to decyduje o niezaangażowaniu się czołowych pisarzy w konkursach otwartych.

Konkursów jest wiele. Tematy są określone tytułem, formą, skrępowane czasem. Tego rodzaju ograniczenia nie sprzyjają pracy twórczej pisarzy, którzy — jakże wiele na ten temat już wypisano — nie lubią „komenderowania" ich twórczością. A przecież każdy konkurs nosi tę właściwą sobie cechę, że już z góry normuje albo przynajmniej „postuluje" pewną treść. Nie należy się więc dziwić, że dojrzały pisarz, kształtujący swą twórczość według własnego planu, nie lubi marginalnych odstępstw od swej koncepcji, od swej wizji literackiej, od swego tematu.

Konkurs otwarty staje się zwykle próbą tylko młodych lub też nie znanych sił. Cała nadzieja organizatorów konkursu spoczywa więc na nie odkrytych talentach, na nie ujawnionym jeszcze asie z Mord lub Łosic, który kunsztem swego słowa dorównałby wielkiemu styliście tamtych stron. Organizatorzy mierzą zwykle wysoko. Snują nadzieje odkrycia w poezji nowego Czechowicza, w prozie szukają Dąbrowskiej, w reportażu gonią za „szalejącym reporterem" — Egonem Erwinem Kischem.

Nie trudno się domyśleć, jak silne jest rozczarowanie organizatorów konkursu, gdy w nadesłanych pracach nie mogą, niestety, odczytać spodziewanych talentów. Dowodem rozgoryczenia jurorów jest symboliczne i niemal już tradycyjne eliminowanie pierwszej, a nawet czasem i drugiej nagrody. Zdaniem jurorów trzecia podzielona jeszcze na trzy części nagroda aż nadto ma usatysfakcjonować laureatów.

Cóż więc pozostaje nie zaspokojonym w swych oczekiwaniach jurorom? Nadzieja odkrycia jeśli już nie wybitnego talentu, to przynajmniej „nowego" nazwiska, które może być tego talentu zwiastunem. Wyróżnione prace, ukryte na razie w symbolice haseł, poruszają czasem ciekawy temat, czasem wyczuwa się w nich nerw pisarski, w szczegółach zastanawiają, całość jednak ujawnia nieporadne jeszcze pióro debiutanta. Wybranie ich z całej masy nadesłanych prac nie jest łatwe. Po prostu nie wyrastają ponad nie tak wysoko, aby można było je już z daleka dostrzec. Mimo to trzeba je wybrać, poklasyfikować i wreszcie przyznać... trzecią nagrodę.

Emocja pryska zwykle po otwarciu fatalnej koperty z godłem. Okazuje się, że nowych nazwisk jest niewiele, laureaci rekrutują się przeważnie z grona dobijających do czołówki, mniej znanych, ale już tu i ówdzie drukowanych literatów i publicystów. Gdy nazwisko jest już znane, a autor przenicowany — rozpływa się ostatnia nadzieja rewelacji. Jedynie nowe, nie rozszyfrowane jeszcze nazwisko budzi zastanowienie. Mówi się wówczas: — Kto to może być? Młody czy stary? Talent czy też grafoman? A może by się nim zająć... Tak, to „coś" obiecuje...

W tych ostatnich słowach kryje się trochę nadziei i zachęty dla tych właśnie „nieznanych" autorów, studentów i robotników, dziewuszek zaczynających staż literacki od swego pamiętnika i lekarzy naśladujących Boya. Dla wszystkich tych ludzi głos jury ma znaczenie wyroczni delfickiej, która jednym jedynym werdyktem ma moc powołania ich do stanu literackiego.

O ludzie naiwni, acz dobrego serca. Długo możecie czekać na to, aby ktoś wami się zajął, wyjaśnił wam błędy, wyprostował debiutanckie zwichnięcia. Nagroda zżółknie za waszą gablotką i niedawny triumf przejdzie tylko do rodzinnych tradycji, przekazywanych wnukom i prawnukom. Jeśli sukces nie zdopingował was do dalszej pracy, jeśli nie stworzyliście następnego, ambitniejszego dzieła — nic już was nie uratuje przed zbliżającym się końcem bez początku.

Zastanówcie się więc szanowni organizatorzy konkursów i uderzcie się serdecznie w piersi. Ileż jest warta nasza nadzieja? Jak się zdyskontował trud waszego konkursu? Co słychać z niedawnym laureatem, tym od „trzeciej" nagrody — czy pisze, czy rozwija się? Jakkolwiek konkurs mógł nie spełnić waszych ambitnych zamierzeń, to nie należy z tej racji ucinać go po rozdaniu nagród. Jakże słusznie napisał obok Zygmunt Lichniak, że zamknięcie konkursu jest tylko formalnością, a faktycznie „Konkurs trwa nadal" — już bez norm i regulaminów, bez ograniczeń czasowych. Pozostała bowiem po nim uwielokrotniona i niezaspokojona nadzieja jego uczestników.

Poprzestańmy na tych uwagach. Można by je z powodzeniem rozszerzyć, lecz ich mnożenie nie jest celem tego artykułu. Za dużo nawrzucałbym sobie kamieni do ogródka i trudno byłoby mi je potem wyciągać, aby przygotować uzasadnienie dla... jeszcze jednego konkursu. Niemniej jednak spróbuję je odrzucić w imię zasady „dokonanego faktu". Konkurs na reportaż został ogłoszony, zakończony, nadzieje spełnione lub zawiedzione — wszystko, jak w koniecznym schemacie. Organizatorom nie wypada więc ganić zasady — zasady trzeba bronić.

Odpowiedzmy więc na dwa zasadnicze pytania. *Primo:* dlaczego w ogóle jeszcze jeden konkurs? i *secundo:* dlaczego na reportaż?

II

NIEWIELU tylko pisarzy i poetów może powiedzieć o sobie tak jak Byron, że los ich odmienił się w ciągu jednej tylko nocy: wczoraj nieznani, następnego dnia otoczeni już byli sławą. Znacznie bliższy prawdy jest przykład Balzaka, przepracowującego trzydzieści siedem razy swe dzieło. Ten wielokrotnie podejmowany wysiłek winien stać się symbolem pisarskiego trudu artysty, który chciałby nadać swemu dziełu kształt najdoskonalszy. Kiedy dojdzie do stworzenia i zakończenia pierwszej, własnej pracy — trzeba przełamać najtrudniejsze chyba z praw twórcy — prawo debiutu.

Ci, którzy mają je już poza sobą, pamiętają doskonale ten lekki skurcz serca i nieznośne drganie powieki, zasłaniającej wydrukowany tytuł, autora i pierwsze zdania. Potem... Nie, potem wcale nie idzie już gładko. Prawo debiutu ma bowiem tę cechę, że zobowiązuje do pracy, poszukiwań, doskonalenia. Konieczne są konfrontacje, dyskusje i krytyka. Stąd jest już tylko jeden

(Dokończenie na str. 4)

D M1.59/0.2

O kulturze inaczej

(Dokończenie ze str. 1)

zjawią się na zawołanie, które trzeba dopiero wychować znajdując na ten cel niezbędne środki. M. in. także dlatego jest to warunek wtórny. Upowszechnianie kultury nie może więc być doraźną, obliczoną na jakieś tam doraźne efekty „akcją" (choć nieraz należy posługiwać się akcjami, jak np. w wypadku likwidacji analfabetyzmu jako zjawiska społecznego), ale procesem zależnym przede wszystkim od wzrostu materialnych warunków bytu społeczeństwa, przyspieszanym i kierowanym przez odpowiednią politykę kulturalną, stopniowo doskonalącą swój „aparat wykonawczy". Oczywiście, jak każdy proces przebiega wśród trudności i oporów. Jego tendencją rozwojową w Polsce jest jednak wyraźny i stały postęp. Ale o tym na zakończenie.

POSTĘPY w dziedzinie upowszechniania kultury, poza wszystkimi oczywistymi korzyściami, jakie przynoszą społeczeństwu, pociągają za sobą również pewne konsekwencje w odniesieniu do twórczości. Powiększająca się stale liczba „aktywnych" — jeśli tak można powiedzieć — konsumentów kultury, tzn. takich, których nie trzeba namawiać, żeby przeczytali książkę czy poszli do teatru, ale którzy sami garną się do korzystania z dóbr kulturalnych, nie może nie oddziaływać na samą twórczość. Próbując scharakteryzować zachodzące tu związki trzeba jednak zachować maksymalną ostrożność. Są to niewątpliwie związki bardzo subtelnej natury, jak zresztą wszystko, co w ten czy w inny sposób zahacza o twórczość artystyczną z prawdziwego zdarzenia. Nie można ich upraszczać. Tylko z grubych uproszczeń mogły brać się swego czasu jawne nonsensy, że upowszechnienie kultury to tyle, co jej samobójstwo. Przyznam się, że — abstrahując od momentów politycznych — nie wiem dotąd, o co właściwie chodziło głosicielom tego rodzaju poglądów. Być może, tłumaczyli oni sobie postulat upowszechnienia kultury jako mechaniczne podporządkowanie twórczości przeciętnym gustom i upodobaniom społeczeństwa. A ponieważ w czasach, kiedy kształtowali swoje poglądy na tę sprawę, przeciętne zainteresowania kulturalne społeczeństwa były raczej ubogie, więc deklarowali swoje stanowcze *veto*. Być może. To nie byłoby jeszcze, przynajmniej subiektywnie, najgorzej. Obiektywnie zaś — znowóż abstrahuję od momentów politycznych — byłoby ustawianiem zagadnienia do góry nogami. Nie chodzi przecież o to, żeby twórca miał rezygnować ze swych ambicji twórczych w imię jakiejś wyimaginowanej „urawniłowki" kulturalnej. Chodzi o to, żeby dzieło twórcy znalazło jak najwięcej chętnych odbiorców o odpowiedniej wiedzy i odpowiednio wyrobionym smaku estetycznym.

W warunkach postępującego upowszechniania kultury twórca musi być świadomy stale wzrastającej funkcji społecznej swego dzieła; musi zdawać sobie sprawę, że staje się ono przedmiotem coraz szerszego zainteresowania, podlega coraz szerszym ocenom. Sprawa ta ma również swoje różne aspekty. Pierwszy z nich można by nazwać zagadnieniem życzliwego audytorium. Niewątpliwie każdemu literatowi, plastykowi, aktorowi, muzykowi czy architektowi zależy w mniejszym lub większym stopniu na poklasku „widowni". Krytyki i opinie odbiorców twórczości artystycznej mają na ogół wpływ na kształtowanie się zamierzeń twórczych. „Pełna widownia", aplauz, jakim obdziela swych ulubieńców, będzie na pewno dodatkowym bodźcem do doskonalenia twórczości.

Zagadnienie to ma również swoją odwrotną stronę medalu, która sama w sobie jest dostatecznie ważka, by podnieść ją jako kolejny i odrębny problem. Doskonalenie twórczości nie może być oczywiście identyfikowane ze schlebianiem czyimkolwiek gustom czy upodobaniom. Gustom — przypuśćmy — złym. Upodobaniom — przypuśćmy — fałszywym. Byłby to proceder niegodny. Twórca, przez sam fakt, że tworzy, jest zarazem wychowawcą społeczeństwa. Jego dzieła, jeśli są dziełami rzetelnego talentu i rzetelnego wysiłku twórczego, dostarczają nie tylko przeżyć estetycznych, ale także wywierają poważny wpływ na kształtowanie się postaw światopoglądowych, politycznych i moralnych. „Pełna widownia" rozszerza zasięg oddziaływania dzieła, podnosi rangę społeczną twórcy: wiąże się niejako automatycznie ze wzrostem jego społecznej odpowiedzialności. Jest w istocie apelem do jego rozumu, serca i sumienia. Twórca musi być w coraz większym stopniu świadomy, że jego dzieło, nieprzemyślane do końca, reprezentujące wątpliwą wartość w swych aspektach estetycznych, poznawczych czy moralnych, przyniesie więcej szkody niż pożytku. Szkody w dwojakim znaczeniu: występującej zarówno wtedy, kiedy dzieło fałszuje prawdę, jak i wtedy, kiedy — nudzi. Ci zaś nadgorliwi administratorzy kultury, którzy przesadzili w koniecznej czujności i przyczynili się walnie do inwazji szablonu i nudy, wyrządzili mimowolną krzywdę nie tylko twórcom. Jakiż bowiem realny pożytek przyniosło sprawie kultury społeczeństwa np. produkowanie i wyświetlanie filmów, na których zasypiali zgodnie snem sprawiedliwych tak „prosty" robotnik, jak i absolwent uniwersytetu? Poruszając te znane skądinąd sprawy w kontekście uwag o upowszechnianiu kultury stwierdzić trzeba, że wraz z jego rozwojem wzrasta zapotrzebowanie na twórczość prawdziwie dojrzałą i odpowiedzialną.

Problem twórcy i „pełnego audytorium" chciałbym zamknąć — nie utrzymując wcale, żeby był wyczerpany — dygresją. Jeśli twórca powinien być związany poczuciem dojrzałej odpowiedzialności za dzieło, to otrzymuje w zamian coś więcej niż zwykły poklask. Ludzie z „pełnego audytorium" stanowią niewątpliwie zupełnie inną kategorię niż tzw. „elita" polujących na „smaczki" i „dreszczyki" kulturalnych snobów. Być może, czasem nie potrafią nawet wyrazić twórcy swego uznania i swych opinii tak, jak ci drudzy — z elegancją ludzi bywałych, choć bynajmniej nie zawsze znających się na rzeczy. Ale ci, którzy do niedawna nie mogli sobie pozwolić na luksus wszelkiej kultury, postawieni po raz pierwszy oko w oko z pięknem, mają do ofiarowania dar wcale nie banalny — serdeczną, ludzką wdzięczność. Czyniąc tę dygresję, jestem oczywiście jak najdalszy od zapoznawania faktu, że nawet w najbardziej sprzyjających warunkach „pełna widownia" nie może wypierać, a tym bardziej zastępować fachowej krytyki.

Nie jest moją intencją wkraczanie w kompetencje teoretyków ani socjologów kultury. Nie zamierzam wnikać w szczegółowe problemy. To, co powiedziałem, narzuca się z siłą oczywistości. Równie oczywisty powinien być fakt, że współzależności zachodzące między upowszechnianiem kultury a twórczością są współzależnościami ogólnymi, społecznymi. Nie można na ich podstawie wyrokować, jak rozwinie się twórczość pana X czy Y. Talent — to rzecz delikatna i zwiewna. Talentu nie dają w żadnym urzędzie do spraw kultury. Można natomiast przewidywać, że w miarę podnoszenia się ogólnego dobrobytu i poziomu kulturalnego społeczeństwa, w miarę wzrastającej dojrzałości i sprawności organów społecznego mecenatu kultury, talentów znajdzie się coraz więcej. Wzrastać będzie bowiem prawdopodobieństwo, że ujawnią się, że zostaną spostrzeżone i że znajdą warunki sprzyjające doskonaleniu.

PRZYJĄWSZY, że przebieg procesu upowszechniania kultury uwarunkowany jest po pierwsze — wzrostem dobrobytu społeczeństwa, po wtóre — umiejętną polityką kulturalną, chciałbym jeszcze podnieść rolę motywów światopoglądowych, wyrażających się w stosunku do samego zagadnienia. Są one istotne, gdyż stwarzają odpowiedni klimat sprzyjający sprawie upowszechniania kultury bądź też ją komplikują. Postawmy sprawę jasno. Światopogląd katolicki wszędzie tam, gdzie ulegał ciśnieniu ideologii określonych środowisk społecznych i kół politycznych, zainteresowanych w utrzymywaniu zróżnicowań klasowych (a więc także i kulturalnych), tam przekształcał się w narzędzie zacofania kulturalnego. W praktyce katolików funkcjonowały również w tej dziedzinie społeczne konsekwencje zwichnięcia równowagi między kontynuacją dzieła Odkupienia i dzieła Stworzenia. Ale — powtórzę cytowane niedawno na tych łamach fragmenty przedmowy do „Zagadnień istotnych" Bolesława Piaseckiego — „Nie trudno wykazać, że trwożliwa atmosfera wychowawcza myśli społecznej katolicyzmu nie wynika z doktryny. Objawem intelektualnym braku konsekwencji w stosunku do założeń doktryny jest zawiłość i mętność kazuistyki teologicznej. Jej podejrzana roztropność nie potrafiła, bo nie mogła, przesłonić następujących, zasadniczych konsekwencji filozofii chrześcijańskiej:

— lęk przed miłością stworzenia przeczy zasadzie miłości bliźniego i zaufaniu do Stwórcy,

— obawa przed wielkością celu doczesnego człowieka przeczy także zaufaniu do Stwórcy,

— strach przed rozwojem możliwości człowieka przeczy ontologicznemu uwielbieniu Stwórcy. Tym doskonalszy byt, im większe ma możliwości i im lepiej je urzeczywistnia. Rozwój możliwości ludzkich wielbi Stwórcę. Gdyby Bóg nie chciał być uwielbiony przez poziom doskonałości, stworzyłby zapewne człowieka bez rozumu".

Doktryna katolicka głosi, że wszystko, co istnieje, człowiek i jego dzieła, istnieje po to, by wielbić Stwórcę. Człowiek wielbi Go modlitwą i pracą. Pracą nie tylko twórczą w ścisłym i potocznym tego słowa znaczeniu, ale wszelką pracą służącą potrzebom bliźnich. Potrzebom zarówno materialnym, jak i duchowym, zapewniającym możliwie najlepsze warunki rozwoju osobowości wszystkich ludzi. Zaś służba potrzebom duchowym wszystkich ludzi, to nie tylko troska o depozyt wiary, to nie tylko twórczość kulturalna, ale także działalność mająca na celu umożliwienie im najszerszego dostępu do wytworzonych wartości. Rozszerzać zakres oddziaływania wartości kulturalnych znaczy więc przyczyniać się — w szczególny sposób — do doskonalenia rzeczywistości świata. Rzeczywistości ludzkiego życia.

W związku z tymi uwagami może być podniesiony następujący szkopuł — zasada, że świadomy katolik z natury rzeczy powinien mieć pozytywny i aktywny stosunek do sprawy upowszechniania kultury, jest zasadą oczywistą i słuszną. Niemniej, chodzi również o treść upowszechnianych wartości kulturalnych. Świadomy katotlik nie może nie odczuwać niepokoju wobec naporu niekatolickich treści światopoglądowych.

Zastanówmy się nad tym szkopułem. Abstrahując już od faktu, że upowszechnianie kultury nie pokrywa się bynajmniej ani nie jest sprowadzane do wyłącznej propagandy tez materializmu dialektycznego, przedstawione powyżej rozumowanie pewne rzeczy przemilcza bądź też ich nie dostrzega. Oczywiste, że katolicy powinni i muszą troszczyć się o perspektywy swego światopoglądu. Powinni i muszą troszczyć się o zasięg oddziaływania wartości kulturalnych wyrażających katolicki pogląd na świat. Zapoznanie się z tytułami, nakładami i wznowieniami (np. kilkakrotnymi edycjami i łącznym nakładem Pisma św.) wydanych w Polsce po wojnie pozycji literatury katolickiej zaświadczy, że ta powinność nie jest nie uznawana. Na tym jednak problem nie wyczerpuje się. Troska o upowszechnienie katolickich wartości kulturalnych musi być uzupełniona i biec równolegle z troską o ich funkcję społeczną. Jej charakter, zależny jest od tego, czy i w jakim stopniu twórcy katoliccy nie zaniedbując problematyki dzieła Odkupienia, problematyki Łaski i grzechu, wyciągnęli bądź wyciągają konsekwencje z doktrynalnego nakazu doskonalącego przekształcania świata w konkretnych warunkach historycznych. Dochodzimy więc do zagadnienia twórczości. Zostało ono omówione w ciekawym artykule Zygmunta Lichniaka („Dziś i Jutro" nr 17(491) — „Obowiązek twórczości"). Nie podejmując więc dalej rozważań na ten temat, chciałbym tylko podkreślić, że od twórczości przede wszystkim, od jej dynamiki, dojrzałości doktrynalnej, odpowiedzialności społecznej i walorów artystycznych zależy obecność katolickich treści światopoglądowych w kulturze nowego świata.

Wywody te nie byłyby jednak pełne, gdyby nie podnieść omówionego przez Lichniaka, a także omawianego przy zupełnie innych okazjach — jeszcze jednego aspektu zagadnienia, które wiąże się z tematem artykułu. Chodzi o to, że stwierdzając zasadnicze różnice co do pierwszych zasad filozoficznych, zachodzące między światopoglądem katolickim a marksistowskim, nie można zarazem zapoznawać istniejących w dwu filozofiach elementów wspólnych. Oczywiście nie po to, by zamazywać różnice czy też silić się na równie eklektyczne, co naiwne syntezy. Jednak współpraca katolików i marksistowskich materialistów filozoficznych wspierająca się na tych wspólnych elementach winna być świadoma płynących z tego konsekwencji również w dziedzinie upowszechniania kultury. Każda rzetelna wartość kulturalna służąca sprawie doskonalącego przekształcania świata — bez względu na jej światopoglądowe pochodzenie — jako wartość służąca częściowej realizacji uniwersalistycznej prawdy katolicyzmu winna spotkać się z poważnym i życzliwym przyjęciem.

BYŁOBY oczywiście naiwnie integrystycznym upraszczaniem sprawy, gdyby ktokolwiek twierdził, że nakaz doskonalącego przekształcania świata zastosowany do problematyki życia społecznego miał oznaczać zawsze akceptację postawy socjalistycznej. Nakaz ten jest stale obowiązującym nakazem doktrynalnym. Socjalizm — zjawiskiem historycznym wyrażającym prawdę społeczną określonej epoki. Naszej epoki. We współczesnych warunkach historycznych ustrój socjalistyczny gwarantuje bez wątpienia najbardziej konsekwentne wywiązanie się z obowiązku doskonalenia obiektywnej rzeczywistości świata we wszystkich jej dziedzinach. Również w dziedzinie interesującego nas zagadnienia upowszechnienia kultury.

Mógłby ktoś powiedzieć, że wokół tego zagadnienia robi się tylko wrzawę. Mógłby ktoś wskazać, że np. w niektórych krajach kapitalistycznych przeciętny poziom kultury społeczeństwa jest wyższy niż u nas. W tym ostatnim wypadku trudno utrzymywać, że to nieprawda. Czego jednak zdają się nie dostrzegać sceptycy i oponenci. Po pierwsze — kraje te, to na ogół kraje w systemie kapitalistycznym przodujące, które przeciętną stopę życiową swych obywateli (nawiasem mówiąc — pracujących, nie wdając się w rozważanie konsekwencji bezrobocia w dziedzinie zaspokajania potrzeb kulturalnych szerokich mas) ugruntowały na eksploatacji kolonii i krajów ekonomicznie zależnych. Po drugie — kraje budujące socjalizm, to z reguły te właśnie, do niedawna zacofane ekonomicznie kraje, przed którymi dopiero rewolucja socjalistyczna ukazała perspektywy stopniowego wzrostu dobrobytu i kultury. I co ważniejsze — wzrostu osiąganego nie drogą zaborczych awantur, ale przede wszystkim siłą wewnętrznej dynamiki rozwojowej budownictwa socjalistycznego. Niewątpliwie nie jest ono łatwe, tym bardziej, że przebiega w ogniu walki klasowej, w której świadomi wrogowie nowego porządku społecznego chwytają się metod coraz bardziej „sublimowanych" i chytrych. (Rozgrywa się ona również w dziedzinie spraw kultury, gdzie w wielu wypadkach jest zagadnieniem szczególnie zawiłym). Niewątpliwie musi istnieć hierarchia zadań. Niewątpliwie zdarzają się błędy. Rzecz jednak w tym, że budowa socjalizmu stwarza i zabezpiecza podstawy upowszechniania kultury — zapewnia systematyczny wzrost dobrobytu społeczeństwa, a tym samym zapewnia niezbędne warunki sprzyjające rozwojowi kultury. Rzecz w tym, że te warunki trzeba maksymalnie wykorzystywać. Recz w tym, że wszyscy obywatele naszego kraju, każdy w zakresie swoich możliwości i umiejętności, powinni się czuć odpowiedzialni za kulturę — i niedość o tym przypominać.

Cokolwiek powiedziałoby się o niedomaganiach procesu rozwojowego kultury w Polsce Ludowej, stwierdzić trzeba, że są to choroby wzrostu. Nie umniejszając w niczym konieczności zastosowania, w razie potrzeby, właściwych środków terapii — bo choroby, jeśli są przewlekłe, pozostawiają w organizmie swój ślad — stwierdzić trzeba w konkluzji, że jest on wsparty, w stopniu coraz bardziej wzrastającym, na solidnych podstawach. Jest to źródłem dojrzałego optymizmu i ufności w przyszłość naszej kultury. Kultury narodu coraz bardziej socjalistycznego.

Wojciech Wieczorek

Wybory bez wyboru

TRUDNE i niewdzięczne zadanie stanęło przed przywódcami dwu wielkich partii angielskich, gdy w końcu kwietnia rozpisano wybory powszechne. Nie chodziło tu wcale o trudności natury technicznej (z którymi boryka się na przykład partia komunistyczna W. Brytanii); labourzyści i konserwatyści mają przecież do rozporządzenia ogromne środki finansowe i wszelkie formy propagandy wyborczej; pisma własne i „niezależne", radio i telewizję, sale meetingowe i rozpowszechnianie ulotek — wszystko to miało służyć rozbudzeniu gorączki walk partyjnych. Trudność leżała jednak gdzie indziej. W istocie bowiem — mimo usilnie podkreślanych różnic ideologicznych — linie polityczne obu partii są w praktyce identyczne. A o tym nie powinien wiedzieć wyborca. Dlatego manifesty i przemówienia wyborcze starały się wywołać wrażenie ostrych sprzeczności między partiami, wyciągały drugorzędne kwestie sporne — jak np. problem, czy powinno się stosować egzaminy konkursowe w szkolnictwie powszechnym — a unikały polemiki na naprawdę istotne zagadnienia doby obecnej. Zbieżność polityki obu partii, szczególnie polityki zagranicznej, była jednak zbyt oczywista, aby można ją ukryć pod dymną zasłoną wzajemnych oskarżeń. Wyborców nie poruszyła nawet finezyjna utarczka słowna dwóch leaderów partii, gdy Churchill porównał swego przeciwnika do „srokatego konia", a Attlee odwzajemnił się mu — nie bez słuszności — mianem „kameleona". Kampania rozpoczęła się i minęła pod znakiem dziwnej apatii, wszystko jedno chyba kogo wybierzemy, różnice między nimi dotyczą przecież tylko metody, a nie celów polityki.

Identyczność celów obu partii podkreślała cała prasa brytyjska. „Różnice pomiędzy oficjalną polityką konserwatystów i labourzystów są nawet mniej istotne, niż rozbieżności między stanowiskiem oficjalnym i bevanowskim samej Partii Pracy" — pisał na początku kampanii konserwatywny „The Times". A w odniesieniu do zagadnień gospodarczych poważny „Economist" stwierdzał w tym samym czasie autorytatywnie: „Z wyjątkiem postulatu nacjonalizacji przemysłu programy gospodarcze konserwatystów i labourzystów wysuwane w trzech poprzednich kampaniach nie zawierały zasadniczych różnic, przy czym należy zaznaczyć, że nacjonalizacja przemysłu była raczej hasłem wyborczym labourzystów, niż konkretnym programem polityczno-gospodarczym".

Tak więc, programy dwu partii brytyjskich nie zawierały żadnych rewelacji, nie dawały w istocie żadnej możliwości wyboru. A jednak warto je przejrzeć. W treści ich — jako dokumentów obliczonych na zdobycie opinii publicznej — musiały znaleźć wyraz żądania narodu brytyjskiego w najżywotniejszych dla niego i dla całego świata kwestiach. I tu szalenie charakterystyczne są wstępne zdania obu manifestów, eksploatowane później bez miary w wystąpieniach kandydatów. „Nie będziemy szczędzić wysiłków, by doprowadzić do spotkań z przywódcami Związku Radzieckiego i starać się uzgodnić przy okrągłym stole projekty, które stanowić będą nowe podejście do sprawy rozbrojenia i bezpieczeństwa wszystkich narodów. Nigdy nie porzucimy nadziei na znalezienie rozwiązań, które uwolnią świat od strachu" — mówi Eden w manifeście konserwatystów. Ale tego samego dnia wydany manifest Labour Party — nie daje się ubiec: „Głównym zadaniem nowego rządu brytyjskiego będzie niedopuszczenie do dalszej zwłoki w przygotowaniach do rozmów na najwyższym szczeblu. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinno być żądanie Wielkiej Brytanii niezwłocznego przerwania prób z bombą wodorową". Oczywiście, trudno mieć złudzenia, iż w słowach wyżej przytoczonych odbija się coś więcej, niż propaganda wyborcza. Ale wskazują one niewątpliwie na nastroje umysłów angielskich, na bezapelacyjne żądania narodu wobec każdego nowego rządu.

Fakt tak widocznej zbieżności programów partyjnych każe nam szukać przyczyn zwycięstwa konserwatystów w czynnikach drugorzędnych, w sprawach taktyki wyborczej i sytuacji wewnątrz-partyjnej. I tu stwierdzić trzeba, że torysi doskonale wybrali moment rozpisania wyborów, sama ich data bowiem w dużej mierze przesądzała zwycięstwo Edena. W sytuacji międzynarodowej jest to chwila naprężonego oczekiwania na konferencję wielkiej czwórki. I chociaż obie partie „przyznają się" do inicjatywy i popierania tego spotkania, to jednak na Edena spływa aureola urzędującego premiera, który czynił konkretne kroki w kierunku realizacji konferencji, który — co więcej — cieszy się starannie pielęgnowaną opinią urodzonego negocjatora i „pokojowego dyplomaty", czego miał dowieść w zeszłym roku na konferencji genewskiej jako minister spraw zagranicznych. Na arenie wewnętrznej partia konserwatywna korzysta z dobrodziejstwa osobistej popularności Churchilla wśród wahającej się zwykle między dwoma partiami warstwy tzw. „white collar clerks", „urzędników o białych kołnierzykach", czyli całej armii angielskiej biurokracji, subiektów sklepowych i manicurzystek. Z drugiej strony, Partia Pracy, rozbita wewnętrznie z powodu sporu Bevan — Attlee nie daje żadnej przeciwwagi personalnie monolitycznej w tej chwili Partii Konserwatywnej, kierowanej przez wierny sobie dumvirat Churchill — Eden. Dalej, na korzyść torysów przemawia także sytuacja gospodarcza. Słusznie twierdzi się, że wyznaczenie terminu wyborów nastąpiło pod naciskiem kanclerza skarbu Butlera: ten niewątpliwie przebiegły polityk zna dobrze prawo ekonomicznych cyklów prosperity i depresji w ustroju kapitalistycznym. A właśnie wiosna była takim momentem prosperity dla Anglii i chociaż widać już oznaki recesji gospodarczej, wyborcy są jeszcze pod urokiem „dni tłustych", reklamowanych jako wynik torysowskiej teorii polityki gospodarczej. Tym można wytłumaczyć paradoksalny na pozór fakt, iż niezwykle silną ostatnio falę strajków, będącą objawem nowych trudności na angielskim rynku pracy i płacy konserwatyści wykorzystują na niekorzyść Labour Party i twierdzą, iż są one jedynie wynikiem sporów międzyzwiązkowych, które rząd stara się właśnie umiejętnie załagodzić.

Wydaje się, że istotę zwycięstwa konserwatystów doskonale oddał londyński „Economist" w swoim ostatnim komentarzu przedwyborczym: „Ewentualne zwycięstwo konserwatystów opierałoby się nie na szerokim entuzjazmie dla ich partii, lecz na szerokiej apatii wyborców labourzystowskich". Ten fakt jest niewątpliwy. I równie niewątpliwa płynie z niego szersza nauka: żadna partia prawicowo-socjalistyczna, bez względu na swą nazwę, hasła i środki propagandy, nie jest zdolna do uzyskania prawdziwego poparcia wśród mas pracujących, gdyż nie potrafi i obiektywnie nie może spełnić ich postulatów.

STEF.

Duchowieństwo Ziem Zachodnich prostuje błędy „Annuario Pontificio"

W dniu 19 maja br. Komisje Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego w Gdańsku, Koszalinie, Olsztynie, Opolu, Szczecinie, Wrocławiu i Zielonej Górze za pośrednictwem delegacji złożyły Episkopatowi Polski list prostujący obrażające postawę patriotyczną i szkodliwe dla sprawy katolicyzmu błędy redakcji „Annuario Pontificio" 1955 r. Komisje zwróciły się do Episkopatu Polski z prośbą o przekazanie powyższego listu redakcji „Annuario Pontificio".

List został podpisany przez 1.868 księży pracujących na Ziemiach Zachodnich.

Poniżej publikujemy treść listu:

* * *

Kapłani rzymsko-katoliccy pracujący na polskich Ziemiach Zachodnich powodowani najgłębszą troską i poczuciem odpowiedzialności za rozwój i perspektywy Kościoła Powszechnego na tych ziemiach, za spokój sumień wiernych i autorytet władzy kościelnej, pozostającej w łączności ze Stolicą Apostolską oraz za dobro narodu polskiego i jego sprawiedliwych granic na Odrze i Nysie — kierują niniejsze pismo do redakcji Annuario Pontificio.

Annuario na str. 1294 w spisie diecezji położonych w Niemczech wylicza metropolię „Breslavia" z sufraganiami: „Berlino", „Warmia o Prel. null. Schneidemühl". W części szczegółowej Annuario, omawiając te trzy diecezje, podaje, że diecezje „Breslavia", Breslau, Wratislavia" (str. 141) oraz prałatura nullus Schneidemühl (str. 705) należą do Niemiec. Natomiast przy omawianiu diecezji „Warmia, Ermland" (str. 477) nie podano jej przynależności państwowej. Na str. 170 Annuario podaje diecezję gdańską „Danzica", „Danzig, Gdańsk", a na stronie 1294 umieszcza ją w państwie „Danzica", wymienionym wśród innych państw europejskich. Nazwisk zarządców czterech wyżej wymienionych diecezji Annuario nie podaje.

Powyższe dane Annuario nie są zgodne z prawdą, uważamy zatem za swój obowiązek sprostować je według faktycznego stanu rzeczy.

Na ziemiach należących do roku 1945 do państwa niemieckiego, a przyznanych Polsce umowami w Jałcie i Poczdamie, kardynał arcybiskup gnieźnieńsko-poznański August Hlond, działając na mocy specjalnego pełnomocnictwa od Stolicy Apostolskiej, utworzył w sierpniu 1945 r. następujące kościelne jednostki administracyjne: Wrocławską, Opolską, Warmińską i Gorzowską, udzielając przy tym jurysdykcji w tych okręgach mianowanym przez siebie wikariuszom generalnym, którzy z kolei udzielali jurysdykcji kapłanom pracującym na tych terenach. Stojąc na tym stanowisku Episkopat Polski zatwierdził administratorów diecezji Wrocławskiej, Opolskiej, Warmińskiej i Gorzowskiej.

W porozumieniu zawartym z Rządem Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 14 kwietnia 1950 roku Episkopat Polski nazywa powyższe kościelne jednostki administracyjne „administracjami kościelnymi korzystającymi z praw biskupstw rezydencjonalnych".

Ponieważ postępowanie kardynała Hlonda i Episkopatu Polskiego nie zostało zdezawuowane przez Stolicę Apostolską, należy je zatem uważać za prawne i zgodne z Jej wolą, z drugiej zaś strony oficjalny organ Sekretariatu Stanu, jakim jest Annuario Pontificio, podaje zupełnie sprzeczne informacje, a w ten sposób może się przyczynić do wprowadzenia pewnego niepokoju w sumieniach katolików. Podanie powyższych wyjaśnień uważamy przeto za swój obowiązek.

Nie wątpimy, że redakcja Annuario służąc Instytucji, która ma na celu przede wszystkim prawdę i dobro dusz katolików, wniesie sprostowanie i poda wykaz diecezji na ziemiach polskich zgodnie z faktycznym stanem rzeczy.

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkręsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5 B-6-895
Zam. nr 1176

HENRYKA OSTROWSKA

BLIŻEJ DZIECKA

W DNIACH 29 i 30 sierpnia odbędą się konferencje nauczycieli pod hasłem „bliżej dziecka".

Postawienie takiego hasła przed zespołem dydaktyczno - wychowawczym oznacza położenie większego niż dotychczas nacisku na poznanie psychiki dziecięcej, na zrozumienie jej, na stworzenie najbardziej odpowiednich warunków i redukowanie wymagań w stosunku do poziomu dziecka, na przybliżenie osoby wychowującej, nauczającej do dziecka, na zlikwidowanie dysproporcji pomiędzy tym, jak uczy i jak wychowuje wychowawca i nauczyciel, a tym, co dzieci z tego potrafią sobie przyswoić.

Postawienie takiego hasła zobowiązuje do olbrzymiego wysiłku naszych pedagogów, do przezwyciężenia rozmaitych uprzedzeń, wyrwania i odrzucenia rutynowanych chwytów, szablonów i popatrzenia na wychowanka jego własnymi oczyma, wymaga też przede wszystkim postawy pełnej wiary w dziecko — człowieka, zaufania do niego, odrzucenia jakichkolwiek uprzedzeń przekreślających możliwości wszechstronnego rozwoju każdego dziecka w odpowiednich warunkach. To wcale nie jest łatwe. Praca pedagoga jest bardzo ciężka i wyczerpująca. Pedagog, który stale w ciągu swojej pracy nie kontroluje samego siebie, a pracuje przez kilka lat, bardzo łatwo popada w rutynę. A żadne, nawet najefektowniejsze chwyty pedagogiczno - dydaktyczne nie przekonają i nie wychowają, jeżeli nie są oparte o zasadnicze zręby — miłości i zaufania do wychowanka, głębokiej wiary w jego możliwości oraz gruntownej wiedzy psychologiczno-pedagogicznej.

W trosce o dziecko powstaje coraz więcej szkół, zakładów wychowawczych, przedszkoli, sanatoriów, prewentoriów itp. Od pierwszych niemal chwil odzyskania niepodległości rozpoczęła się walka o zdrowie dziecka. Dzieci wyniszczone przez wojnę, przez złe warunki mieszkaniowe i wyżywieniowe utraciły odporność i stały się podatne na choroby. Podatność na choroby zwiększyły jeszcze silne przeżycia okupacyjne, które zakłócając równowagę psychiczną dziecka osłabiały jego odporność fizyczną. Dziecko chore wymaga innego leczenia terapeutycznego, innych warunków i innej opieki. Szpitale dla dorosłych takich wymagań nie spełniają.

Wysunął się więc problem budowania zakładów leczniczych dla dzieci zagrożonych lub chorych. Choroby dziecięce krótkotrwałe i przelotne nie przedstawiają jeszcze dużego niebezpieczeństwa i zasadniczo dom potrafi ten problem rozwiązać. Choroby zaś przewlekłe wyrywają dziecko na przeciąg miesięcy, a czasem nawet i lat z normalnego życia, powodują groźne skutki zarówno w somatycznej, jak i psychicznej strukturze dziecięcej. Już kilkumiesięczny pobyt dziecka w łóżku potrafi wywołać w psychice dziecka duże zmiany. Dzieciństwo jest okresem ogromnej plastyczności. Wszelkie zaś wrażenia i przeżycia dzieciństwa rzutują się z wielką siłą na psychikę człowieka dorosłego. Kilkumiesięczne, a nawet kilkuletnie (przy gruźlicy kostno-stawowej) pozbawienie swobody zubaża bardzo i opóźnia rozwój umysłowy, a jednocześnie na skutek towarzyszących przeżyć i wrażeń żłobi rysy w psychice dziecka, w jego uczuciowości, w jego stosunku do otoczenia, zdolności współdziałania, współpracy i w zdolności pełnego rozwoju. Duża plastyczność psychiki dziecka ma dobre i złe strony; z jednej strony, o ile stworzymy dziecku właściwe warunki, właściwą atmosferę i właściwy poziom wychowawczy i intelektualny — dziecko po przebytej chorobie wróci do społeczeństwa jako jednostka wartościowa, jeśli zaś nie stworzymy mu warunków odpowiednich — wyrządzimy krzywdę dziecku i społeczeństwu. Szczególnie ostro to zagadnienie występuje u dzieci chorych na gruźlicę kostno-stawową.

Dziecko, unieruchomione w łóżeczku gipsowym, pozbawione ruchu, jest zupełnie zdane na łaskę i niełaskę otoczenia; poznaje ono bezwzględną zależność fizyczną, wszelkie szczegóły ograniczeń i bezsiły, do których choroba je zmusza, a przyjąć musi wszelkie bariery odgradzające je od życia normalnego i przykuwające do łóżeczka gipsowego na całe godziny, dnie, miesiące, lata.

Dom, rodzice, ciepło rodzinne, ruch, zabawa zostały poza nim, a przed nim jest zamknięcie, oddalenie, niemoc fizycznej zależności. Świadomość tej zmiany odczuwana często przez dzieci chore jako krzywda, jako wyrządzone im zło — w pierwszych dniach pobytu w zakładzie leczniczym jest motorem zachowania się małego pacjenta. W pierwszych też dniach rozgrywa się „walka" pomiędzy negatywnym nastawieniem dziecka a zespołem pracowników sanatoryjnych. Po stronie sanatorium stoją wszystkie środki do dyspozycji — po stronie dziecka jego możliwości psychiczne — zamknięcie się w sobie, grymasy, niespołeczne zachowanie, krytyki, płacze itp. Od taktownego zachowania się, od umiejętności zorganizowania dnia dziecku, a l e n i e b y l e j a k, n i e b y l e t y l k o z a j ą ć — od postawy, jaką przyjmuje *cały* personel sanatoryjny, zależy, czy przepaść między dzieckiem będzie się powiększać, czy będzie maleć, czy też w ogólne zniknie. Od tego zaś czy ona będzie istniała, czy nie, zależy w dużej mierze szybszy powrót do zdrowia jak również to, czy wyniesie ono z sanatorium psychikę dziecka zdrowego, czy pozostaną skazy, z którymi pójdzie w życie. Od atmosfery sanatorium, a więc od lekarzy, nauczycieli, wychowawców, pielęgniarek, salowych, od ich poziomu ideowego, intelektualnego i moralnego zależy, czy wyrwa, jaką czyni w psychice dziecka przewlekła choroba, będzie się powiększać, czy się zabliźni, czy osłabienie systemu nerwowego spowodowane chorobą zlikwiduje się wraz z cofnięciem procesu gruźliczego. Od każdego z tych, którzy stykają się z dziećmi na terenie sanatoriów zależy stan dziecka. I każdy jest współodpowiedzialny za dziecko i za jego dobre lub złe samopoczucie, odpowiedzialny w podobny sposób jak odpowiedzialni są rodzice i rodzina za własne dziecko. Rodziną dla dziecka chorego jest personel sanatoryjny.

Z troski o pełnię rozwoju umysłowego dziecka powstały też na terenie sanatorium szkoły. W całokształcie poczynań zakładu leczniczego nad doprowadzeniem do wyzdrowienia dziecka wybitny udział bierze szkoła, a zorganizowana przez nią nauka ma stać się jednym z ważnych środków leczenia. Szkoła sanatoryjna ma za zadanie stworzenie optymalnych warunków wzmacniających osłabiony przez chorobę system nerwowy oraz wytworzenie pożądanego klimatu dla korzystnego samopoczucia dziecka — jako obowiązującego czynnika terapeutycznego. Wszystkie zabiegi pedagogiczne muszą być rozumiane, jako środki terapeutyczne, doprowadzające ustrój dziecka do normalnego życia, podporządkowane zasadniczemu procesowi leczenia. Właściwa organizacja nauczania jest ważna nie tylko ze względów dydaktycznych, ale równocześnie staje się nieocenionym środkiem higienicznym porządkującym pracę mózgu, a przez mózg — cały rozwijający się organizm dziecka. Postulaty higieny wymagają zachowania odpowiedniego stosunku między okresem pracy i odpoczynkiem, między wytwarzaniem nowych odruchów a ich utrwalaniem. Aktywny odpoczynek regenerujący siły dziecka polegać musi na racjonalnym organizowaniu różnych rodzajów działalności, w czasie których występujące w jakościowo odmiennych stosunkach czynności ośrodków mózgowych zmieniają ogniska pobudzenia w korze mózgowej, wzmacniają uwagę i ogólną zdolność do pracy. Stan taki możliwy jest tylko wtedy, gdy psychika dziecka chorego ma pozytywny stosunek do życia — czyli gdy dziecko posiada dobre samopoczucie. Dobre samopoczucie jest równocześnie gwarantem, że leczenie pójdzie po właściwej drodze. Dlatego szkoła sanatoryjna wysuwa jako główną zasadę: włączyć dziecko chore w nurt codziennego życia, z jak najmniejszym wysiłkiem z jego strony, oraz doprowadzić je do szkoły normalnej. Z tak postawionej zasady wynika potrzeba zorganizowania (w ramach ściśle przestrzeganych zleceń lekarskich) całego pobytu dziecka chorego: jego nauki, zajęć, rozrywek — w sposób możliwie bliski życiu i pracy dziecka zdrowego. Wszelka działalność dydaktyczno-pedagogiczna na terenie szkoły musi posiadać dwa aspekty: terapeutyczny, uzgodniony ze wskazaniami lekarskimi, i dydaktyczny jak najbardziej przypominający normalne zajęcia w szkole podstawowej.

Dziecko przewlekle chore pobierając naukę w szkole sanatoryjnej, ucząc się tak jak jego zdrowy kolega, nabiera przeświadczenia, że bez żadnej przeszkody, bez żadnych zaniedbań wróci do szkoły macierzystej. Przeświadczenie to wpływa na kształtowanie się korzystnej atmosfery psychicznej, pomagającej bardzo wydatnie w odzyskiwaniu zdrowia. Szkoły sanatoryjne są wielką zdobyczą Polski Ludowej.

Podstawą organizacji nauki w szkole sanatoryjnej jest program organizowany w szkole dla dzieci zdrowych — w szkole podstawowej z uwzględnieniem jednak warunków leczenia i możliwości dziecka chorego.

Biologiczne prawa żywego organizmu dziecka domagają się kontaktu z rzeczywistością oraz własnej osobistej aktywności. Należy więc tak organizować podawanie wiedzy, by uwzględnić nie tylko wymienione prawa biologiczne, ale dostarczyć również optymalnych warunków dla procesów psychicznych, stanowiących ważny czynnik w całokształcie procesu leczenia.

Dziecko chore, dla którego naturalna konieczność ruchu jest zahamowana, tym bardziej powinno mieć możliwość wyładowania nagromadzonej energii w sposób celowy i uporządkowany. Tą prawidłową formą wyładowania staje się dla chorego dziecka uczestniczenie w pracy szkolnej. Samodzielna praca szkolna stawia go na równi z dzieckiem zdrowym, wzmacnia jego poczucie siły i własnej wartości, wyzwala urazy psychiczne i daje dziecku pełnię radości. W sposób naturalny daje ona poczucie więzi z normalnymi dziećmi, przygotowuje teren do późniejszego włączenia się w życie codzienne, w sam proces pracy ludzi zdrowych. Jest więc olbrzymią rekompensatą za przymusowy bezruch. Staje się niezastąpionym terapeutycznie środkiem dydaktycznym i wychowawczym. Daje dziecku choremu prawdziwą, naturalną radość. A radość pomaga w leczeniu — radość leczy.

Oto przykład z życia dzieci chorych:

Zygmusia przywieziono ze szpitala bardzo ostrożnie. Umieszczono go na wznak w gipsowym łóżeczku, wieszając jednocześnie lewą nogę na chuście przymocowanej do skomplikowanego rusztowania. Głowę usztywniono na pętli. Dwa lata leżał już w szpitalu. Płakał, tęsknił za domem. Wyrywał się z opatrunku gipsowego. Personel szpitalny miał z nim dużo kłopotu.

— Czy możesz pisać? — pyta nauczycielka.

— Pisać? — Tak, tak — odpowiada skwapliwie. Był w trzeciej klasie. Uczył się, pisał, rysował, odrabiał zadania. Nie płakał i nie krzyczał. Był najbardziej chętny i najbardziej radosny z grupy dwudziestu chłopców.

W czasie odwiedzin matka zwróciła się do nauczycielki:

— Jak się cieszę, że Zygmuś nabrał ochoty do życia, że się uczy. Mówi, że tu mu dobrze, że nie płacze jak w szpitalu, nie wyrywa się rozpaczliwie do domu. Chce tu zostać...

Dziś Zygmuś jest już w szóstej klasie, chodzi swobodnie.

Praca daje najwięcej...

Henryka Ostrowska

APOLOGETYKA TOTALNA

APOLOGETYKA jest pojęciem rozciągłym, a pod względem swej wartości i naukowości bardzo wieloznacznym. Osoby nieobeznane z obcojęzyczną literaturą katolicką skłonne są darzyć wszelką apologetykę dużą nieufnością. Wszyscy na ogół przyzwyczajeni jesteśmy traktować apologetykę jako „obronę pierwszych zasad wiary katolickiej z odpowiedziami na zarzuty". W tym ujęciu staje się ona z reguły mniej lub więcej, czy raczej lepiej lub gorzej uporządkowanym zbiorem zarzutów i odpowiedzi na nie, obejmujących szerszy lub węższy zakres zagadnień o charakterze dla naszej wiary podstawowym. I tak na przykład najbardziej znana w języku polskim popularna apologetyka ks. Bartynowskiego TJ, wydana przed wojną i krótko po wojnie wznowiona, obejmuje niezmiernie szeroki zakres zagadnień od faktu istnienia Boga i stworzenia świata począwszy, poprzez możliwość i konieczność objawienia oraz historyczność wcielenia i odkupienia, aż do boskiego charakteru i pochodzenia Kościoła. Grupuje argumentację filozoficzną, historyczną, fizyczną, biologiczną, etnograficzną itd. przemawiającą za słusznością katolickiego rozwiązania tych zagadnień. W tym ujęciu apologetyka staje się zbiorem materiału o zastraszającej objętości tematycznej, który na to, aby potraktować omawiane zagadnienia poważnie i głęboko, musiałby być wydawnictwem na miarę wielotomowej encyklopedii. Zmieszczenie tego materiału na kilkuset stronach druku z góry determinuje jego jak najbardziej popularny, żeby nie powiedzieć powierzchowny charakter.

Ten stan rzeczy, łącznie z panującymi w swoim czasie tendencjami zmierzającymi do zastąpienia solidnego katolickiego wykształcenia światopoglądowego, opartego o pozytywne poznanie chrześcijańskiej filozofii i teologii, właśnie apologetyką, musiał zrodzić pewną w stosunku do niej niechęć. Co więcej, musiał zrodzić przeświadczenie, że tego rodzaju „wszystkoizm" nie może być pod względem metodologicznym nauką, a najwyżej pewną sztuką polemiczną, zaś pod względem praktycznym jest nieprzydatny ani na użytek osobisty (jako wewnętrzna rozumowa podbudowa wiary), ani na użytek zewnętrzny, ze względu na swą płytkość i powierzchowność, a tym samym niewystarczalność.

Dla wszystkich podzielających ten pogląd na apologetykę i te wobec niej zastrzeżenia dużą rewelacją będzie praca ks. prof. Wincentego Kwiatkowskiego ukazująca się pod tytułem „Apologetyka totalna". Wydawnictwo to, owoc długoletnich wykładów i seminariów, zaczęło wychodzić przed wojną w ramach Warszawskich Studiów Teologicznych. Pierwszy tom pt. „Przedmiot apologetyki totalnej" ukazał się w r. 1937, drugi, poświęcony zagadnieniom metodologicznym apologetyki totalnej — bodajże w r. 1939. Obydwa tomy mają dla właściwego wykładu apologetyki charakter wstępny i wprowadzający. Dopiero parę miesięcy temu, również w ramach Warszawskich Studiów Teologicznych, ukazał się następny tom, będący pierwszą częścią właściwego wykładu *). Całość obliczona jest na cztery tomy, czy raczej według zastosowanego obecnie podziału, na dwa tomy, każdy w dwóch częściach. W najbliższym czasie ukaże się druga część tomu drugiego. Potem przerobione i rozszerzone wznowienie materiału wydanego przed wojną obecnie jako tom pierwszy.

Czytelnika stykającego się po raz pierwszy z tą pracą zdziwić może jej tytuł. Ze szczególnym wyjaśnieniem jego genezy należy poczekać do chwili ukazania się obu części przerobionego tomu pierwszego. Nie należy chyba również szukać go w apologetycznej literaturze obcej. Autor jest twórcą własnego systemu apologetyki i taką właśnie nazwę uznał dla niego za najodpowiedniejszą. Czym się ten system charakteryzuje na tle dotychczasowych kierunków apologetyki, jakie są jego charakterystyczne metodologiczne założenia, dlaczego autor nazwał go totalnym — na te wszystkie pytania odpowie tom pierwszy. W tej sytuacji staje się jasne, dlaczego autor aż połowę swej pracy poświęcił zagadnieniom metodologicznym.

W tej chwili możemy oceniać pracę na podstawie wydanego obecnie jej fragmentu i trzeba przyznać, że ocena ta wypada dodatnio. Ów wydany obecnie fragment, część pierwsza tomu drugiego, nosi tytuł „Religijno - indywidualna świadomość Jezusa". Część druga tego tomu poświęcona będzie zagadnieniu świadomości Jezusa religijno-społecznej. Dla nas, niefachowców, ta nomenklatura i sposób ujmowania zagadnienia, jaki zapowiada, mogą wydać się dziwne, nawet zaskakujące. Przy bliższym zapoznaniu się z książką wątpliwości znikają, a koncepcja autora staje się jasna, przekonywająca i logiczna.

Apologetyka, bez względu na sposób jej ujmowania, zajmuje się zasadniczo dwiema tezami: chrystologiczną i eklekzjologiczną. Teza chrystologiczna zajmuje się osobą Chrystusa, faktem Jego istnienia, historycznością Jego postaci przekazanej nam przez tradycję chrześcijańską, Jego boskością i posłannictwem. Teza eklekzjologiczna przedstawia Kościół jako jedynego autentycznego spadkobiercę Jego Boskiej nauki. Omawiany tom zajmuje się właśnie tezą chrystologiczną.

Autor wychodzi z założenia, że rozwiązania „tajemnicy" Chrystusa trzeba szukać w Nim samym, w Jego psychice i Jej przejawach. Chrystus sam powie nam, kim jest, i sam to udowodni. Czy do psychiki Chrystusa w jej przejawach możemy dotrzeć z historyczną pewnością? Tak, możemy. Źródłem historycznym będą tu kanoniczne ewangelie. Dla tego rozważania nad historyczną wartością ewangelii będą tu punktem wyjścia. Tym rozważaniom poświęcony jest duży, zajmujący ponad jedną trzecią pracy Wstęp. Zajmuje się on krytyką dokumentów i źródeł do poznania religijnej świadomości Jezusa, przeprowadzając tekstualną i historyczną krytykę ewangelii kanonicznych. Przedmiotem krytyki tekstualnej będzie zagadnienie, jaki jest stosunek posiadanych przez nas tekstów ewangelii do oryginałów, którymi nie dysponujemy; przedmiotem krytyki historycznej — jaki jest stosunek ewangelii do opisywanych przez nie wydarzeń. Przy pierwszym zagadnieniu autor przedstawia jaki jest stan tekstów ewangelijnych, jakiego typu różnice zachodzą między tekstami poszczególnych egzemplarzy, jakimi wreszcie metodami posługuje się krytyka dążąc do definitywnego ustalenia tekstu pierwotnego. Kończy konkluzją, iż możemy „z całą pewnością naukową utrzymywać, że obecne wydania krytyczne tekstu ewangelijnego... dają pod względem krytycznym taki tekst, jaki wyszedł zasadniczo spod pióra autora. (str. 27).

W drugim zagadnieniu zajmuje się autorstwem ewangelii na podstawie ich wewnętrznej analizy zdradzającej pochodzenie, wykształcenie, nawet zajęcie autorów. Wyniki tej analizy, zestawione ze świadectwami najstarszej literatury patrystycznej (II wiek) wskazują na osoby Mateusza, Marka, Łukasza i Jana zgodnie z tradycją Kościoła. Dalej omawia metody, pozwalające ustalić w przybliżeniu daty powstania ewangelii, wiarygodność autorów, możliwość, czy raczej niemożliwość wprowadzenia przez nich rzeczowych zmian w katechezie apostolskiej, którą spisywali, ze względu na system społecznej kontroli istniejący w pierwotnej gminie chrześcijańskiej. Zajmuje się też niezwykle ciekawym problemem, któremu wiele troski poświęciła szczególnie szkoła historyczno-morfologiczna, a mianowicie problemem wyróżnienia w treści ewangelii ich formy redakcyjnej pochodzącej od ewangelisty od formy redakcyjnej samej katechezy apostolskiej, a następnie problem wydzielenia z tej ostatniej autentycznych wypowiedzi Chrystusa w ich najbardziej czystej formie. Prowadzi ostatecznie do wniosku, że ewangelie są autentycznym i obiektywnym źródłem do poznania osoby Jezusa, Jego wypowiedzi i czynów, i że przystępując do nich krytycznie, nie można ich rozumieć inaczej „jak tylko przyjmując konkretne istnienie Jezusa z Nazaretu łącznie z realizowaną w Nim i przez Niego wielką i doniosłą ideą religijno-moralną" (str. 85).

W oparciu o te źródła autor przystępuje do badania „religijno-indywidualnej świadomości Jezusa". Najpierw omawia tzw. „deklaracyjną świadomość Jezusa". W zagadnieniu tym ustala, iż tekstów ewangelijnych nie można rozumieć inaczej, jak tylko stwierdzając, że Jezus ogłaszał siebie Mesjaszem i Synem Bożym, i to Synem Bożym w sensie bezpośrednim, metafizycznym, a nie tylko moralnym czy ogólnym, i żądał uznania siebie za Mesjasza i Syna Bożego.

W samych ewangeliach zawiera się motywacja tych roszczeń. To zagadnienie „motywacyjne" dzieli autor na dwie grupy. Pierwsza, o „personalistycznej świadomości Jezusa", zajmuje się treścią Jego psychiki, jaką poznajemy poprzez teksty ewangelijne.

Dowodzą one, iż Jezus nie tylko głosił, iż jest Mesjaszem i Synem Bożym, ale za takiego się uważał i że ta Jego świadomość nie zdradza żadnych stadiów rozwojowych wskazujących na jej stopniowe powstawanie, ani też nigdy nie uległa najmniejszemu zachwianiu czy wątpliwościom, nawet w chwilach zupełnej, sądząc po ludzku, klęski. Z drugiej strony doskonała sylwetka moralna Jezusa wyklucza oszustwo, a stan Jego intelektu — obłęd.

Druga grupa, o „dynamicznej świadomości Jezusa", zajmuje się krytyczną analizą prawdziwości zawartych w ewangeliach opisów cudów dokonanych przez Jezusa. Autor udowadnia, iż opisy te należą do pierwotnego tekstu ewangelii, że są one automatyczne, a przy tym opisane wypadki od początku traktowane były, jako cudowne a nie naturalne, i wreszcie, że również dziś jako naturalne traktowane być nie mogą. Szczególnie wiele miejsca autor poświęca tu tak zwanym wypadkom wielkanocnym, to jest zmartwychwstaniu Chrystusa i następującym po tym Chrystofaniom, to jest faktom ukazywania się Chrystusa w ciele uwielbionym apostołom i uczniom. Tu wprowadza też obok ewangelii dwa dalsze źródła: List I do Koryntian św. Pawła i Dzieje apostolskie św. Łukasza, które krytycznie omawia.

Całość pracy jest niezwykle interesująca. Zwarta, wewnętrznie logiczna, oparta o jednolitą konstrukcję, eliminuje zagadnienia dla myśli głównej drugoplanowe, a za to dostatecznie głęboko omawia zasadnicze i istotne. Zapoznaje nie tylko z historyczno - krytycznymi dowodami potwierdzającymi prawdziwość podstaw chrześcijaństwa, ale również z ogromną literaturą i pracą krytyki racjonalistycznej, zajmującej się ewangeliami, postacią Jezusa i Jego nauką z pozycji niekatolickich, zresztą najróżniejszych i nieraz ze sobą sprzecznych, badających te zagadnienia w sposób niejednokrotnie bardzo interesujący. Autor szuka z przedstawicielami tych szkół wspólnej płaszczyzny i nieraz ją znajduje, co nie powinno dziwić nikogo, kto choć pobieżnie zna ewolucję, jaką krytyka racjonalistyczna przeszła od czasów Renana do dziś, kiedy to już ani teza o pochodzeniu ewangelii z drugiej połowy II wieku, ani teza o legendarności postaci Chrystusa nie wytrzymują absolutnie naukowej krytyki historycznej. Zgromadzony przez autora materiał może służyć za przykład jak wiele chrześcijańska, najbardziej tradycja krytyka tych zagadnień skorzystała właśnie z prac krytyki racjonalistycznej, której pierwsze założenie zmierzało do czegoś wręcz przeciwnego. Tam, gdzie znalezienie tej wspólnej płaszczyzny jest niemożliwe autor przeprowadza polemikę z tezami i dowodami krytyki racjonalistycznej, oczywiście nigdy z pozycji teologicznych i magisterium Kościoła, a zawsze w oparciu o obiektywny materiał historyczny i poza teologiczną metodę. Niewątpliwie jest to praca na jaką czekaliśmy.

Lektura książki nie jest łatwa. Autor na pewno nie pisał jej dla laików i nigdzie nie próbuje popularyzować. Przy czytaniu jej odnosi się wrażenie, iż autor pisał swą pracę z myślą o odbiorcy najbardziej „elitarnym", inaczej mówiąc o bardzo ciasnym liczbowo gronie fachowców. O ile autor rzeczywiście miał takie właśnie założenie, trzeba zauważyć, że chyba nie było ono słuszne. Omawiane zagadnienia, i to właśnie omawiane na tym poziomie, nie są zasadniczo zbyt trudne dla katolików posiadających wyższe wykształcenie humanistyczne i jakie takie oczytanie katolickie. Są przy tym bardzo dla nich interesujące, co więcej bardzo potrzebne. I to właśnie w takim ujęciu, a nie w ujęciu spopularyzowanym i oderwanym od źródeł. Wydaje się, że w związku z tym można by postawić postulat pewnego ułatwienia książki, uczynienia jej „czytelniejszą" właśnie dla niefachowców. Nie chodzi tu oczywiście o te trudności, które wynikają z faktu, że omawiana część jest bądź co bądź trzecia i w zasadzie wymaga uprzedniego przeczytania dwu pierwszych. Nie idzie też o trudną nieraz terminologię, przez którą jednak i niefachowiec może się przedrzeć. Sądzę natomiast, iż jest niewłaściwe podawanie terminów greckich tylko w brzmieniu oryginalnym i to bez transkrypcji na alfabet łaciński, ani nawet bez jakiegokolwiek omówienia. Kto z nas dzisiaj poza filologami klasycznymi zna grekę? Skutek jest taki, iż najbardziej wytrwały czytelnik, jeżeli nie ma się kogo spytać, musi pomijać niejednokrotnie długą nawet parustronicową polemikę nad znaczeniem jakiegoś ewangelijnego greckiego zwrotu, o którego treści nie ma pojęcia. Polemiki te posiadają dla toku rozważań autora dość dużą wagę. Miejmy nadzieję, iż wydawnictwo zechce uwzględnić przy opracowaniu pozostałych tomów tę małą prośbę.

Juliusz Eska

*) Ks. dr Wincenty Kwiatkowski, Apologetyka totalna, t. II.

Religijna świadomość Jezusa, cz. I Religijno-indywidualna świadomość Jezusa, Warszawskie Studia Teologiczne 26. Pax, Warszawa 1954 r.

rys. GABRIEL RECHOWICZ

ZYGMUNT LICHNIAK

LITERATURA PRZYSPIESZONA

GDYBY żyli w naszych czasach czy to autor „Listu do Pizonów", czy Boileau, czy wreszcie jego polski rówieśnik w dziele określania norm i ważności gatunków literackich, wielebny ks. Franciszek Dmochowski, powiedzieliby na pewno — uczestnicząc w dowiadczeniach epoki współczesnej — że: nie tylko opiewacze Klio lub Wenery mają miejsca swe w sztuce, lecz i reportery...

Kto wie, czy autor pouczającej — a dzisiaj raczej z prześmieszkami traktowanej — „Sztuki rymotwórczej" nie podałby ż właściwą sobie dystynkcją i rozwagą:

Albowiem rzecz jest godna podania
k'nauce,
Iż sztuka ważna w życiu, tak jak
życie w sztuce.

Nie wiem, czy wiersze wyrażające te myśli nie byłyby kunsztowniejsze, ale tego jestem pewien: przestrzegałyby przed lekceważeniem reportażu jako nowego gatunku literackiego, wzywałyby do traktowania reportażu jako równorzędnego partnera innych gatunków literackich, wykluczałyby traktowanie reportażu jako ubogiego krewnego dzieła sztuki.

Reportaż przeżywa bowiem w epoce przyspieszonej historii swój wielki awans kulturalny. Z popychadła redakcyjnego, ze sługusa taniej sensacji brukowej staje się bardzo istotną formą utrwalania na światłoczułej kliszy świadomości nowego kształtu epoki, nowych procesów przeobrażających świat i człowieka. Więcej: staje się czynnikiem przeobrażania. Tempo, ważkość przemian są tak duże, że literatura piękna — przyzwyczajona do innego rytmu — nie nadąża za dniami, które idą marszowym krokiem, traci łączność, powstaje między nią a przemianami niebezpieczna luka. Reportaż jest rekonesansem literatury, zapełnia lukę, utrzymuje ścisłą łączność. Ta rola nadaje mu rangę literatury przyspieszonej.

O tej randze głośno u nas mówiło się i mówi przy różnych okazjach. Przypominali sobie o niej pisarze, przypominały pisarzom redakcje, redakcjom pisarze, mówili o koniecznej współpracy pisarzy z dziennikarzami nawet kierownicy naszego państwa. Najlepszy to dowód, jak sprawa jest ważna i jak wielką do niej wszyscy powinni przykładać miarę.

Co innego jednak teoretyczna miara postulatów, a co innego praktyczna miara faktów realizacyjnych. Reportaż powojennego dziesięciolecia — chociaż dokonał poważnego dzieła rehabilitowania siebie jako gatunku — nie dojrzał jeszcze do koniecznej równowagi między postulatami a faktami. Oskarża to nie postulaty, lecz fakty. Gdyby ktoś usiłował wybić się z tej diagnozy twierdzeniem, że im gorzej dla postulatów, jesteśmy w stanie zaszachować go — tym razem sensownie pojętą — odpowiedzią Hegla: tym gorzej dla faktów.

Oczywiście, gdyby ktoś chciał napisać syntetyczną historię reportażu dziesięciolecia powojennego, musiałby zwrócić uwagę na wiele cennych i ambitnych w tym zakresie osiągnięć. Pojawiłyby się tu nazwiska Mariana Brandysa, Pawła Jasienicy czy Bronisława Wiernika lub Henryka Korotyńskiego, musiałoby się należeć miejsce dla „Listów z Ameryki Południowej" Jarosława Iwaszkiewicza, „Domu bez ścian" Wojciecha Żukrowskiego czy „Czerwonego i złotego" Stanisława Zielińskiego. Co obiektywniejszy historyk nie zawahałby się przed wspomnieniem cyklu Wojciecha Kętrzyńskiego „Francja kraj misyjny", czy cyklu Dominika Horodyńskiego „I don't like America" lub nawet „Wiosny nad Motławą" Włodzimierza Wnuka. Jednocześnie wszakże historyk ów musiałby dokonać przeglądu całego stosu makulatury reporterskiej, która zajmowała i zajmuje nie tylko szpalty dzienników lub tygodników, lecz także półki i piwnice „Domu Książki".

Obiektywny bilans kulminowałby chyba we wniosku ostrzegającym przed reporterską łatwizną, przed nadmierną stylizacją na literackość lub nadmiernym popieraniem się suchą faktografią.

Dokonywanie takiego bilansu pozostawiam jednak historykowi. Niechaj się potrudzi i pobrudzi w tej koniecznej, choć jeszcze przez nikogo nie dokonanej pracy. Dla mnie ważny jest wniosek ogólny, o którego słuszności — na podstawie niekompletnych, ale w miarę heroicznych lektur — jestem najgłębiej przekonany.

Wniosek streściłbym tak: reportażowi dziesięciolecia, podnoszącemu swoją godność ideowo-artystyczną, zagraża w wielu już wypadkach bardzo konkretne niebezpieczeństwo zubożenia ideowo-artystycznego.

Ideowo-artystyczna godność reportażu polega — moim zdaniem — na sile literackiej faktografii. Daleki jestem od podejmowania jakichkolwiek prób teoretyzowania na temat reportażu, nie mam w tym zakresie ani szczególnych ambicji, ani kompetencji. Zadanie to podejmowali i na pewno podejmą jeszcze ci, którzy silniej są związani z tym tematem i swoją wiedzą i swoim działaniem pisarskim. Chciałbym wszakże podzielić się kilkoma uwagami, które może przydadzą się komuś i w teoretycznych rozważaniach, i w praktycznych przedsięwzięciach reporterskich.

Określiłem reportaż jako utwór czy gatunek, którego godność ideowo-artystyczna polega na sile jego literackiej faktografii. Określenie to wymaga dokładniejszych wyjaśnień.

Przede wszystkim jednak wymaga mocnego zaakcentowania koniecznej łączności między przymiotnikiem „literacka" i rzeczownikiem „faktografia". Zaakcentowanie tej łączności jest konieczne dlatego, że większość błędów reporterskich wynika z rozłącznego traktowania tych koniecznych elementów siły reportażu lub też z ich mechanicznego łączenia w zlepkową całość, która powinna być całością organiczną.

Dla nikogo chyba — a w każdym razie dla mnie — nie ulega wątpliwości, że jeśli nie każdy pisarz musi mieć ambicje czy możliwości reporterskie, to każdy reporter sznurujący siebie, czytelnika i dzieło musi mieć pisarskie ambicje i musi wypracowywać w sobie możliwości pisarskie. Zawsze, gdy mamy do czynienia z reportażem, który w swoim odczuciu kwalifikujemy jako dobry czy doskonały, mamy jednocześnie do czynienia z twórczą symbiozą dziennikarza i literata.

Zawsze, gdy w naszym odczuciu reportaż jest słaby, kiepski lub wręcz „do bani", mamy do czynienia z jakimiś nieporozumieniami wewnątrz autora reportażu: albo dziennikarz gwałci literata, albo literat brudzi dziennikarzowi, albo też literat jest kiepski lub kiepski dziennikarz, czy wreszcie — co najczywiściej wyjaśnia słabość reporterskiej pracy — i dziennikarz, i literat pomyłkowo wybrali swój zawód. Te różne rodzaje nieporozumień powodują różne typy schorzeń utworu reporterskiego.

Warto kilka z nich choćby ogólnie opisać, aby ułatwić wybór właściwej terapii.

Jednym z najczęstszych w tym zakresie schorzeń jest febra beletrisensis, czyli popularnie mówiąc: prymitywne sztafirowanie notatki dziennikarskiej na zbeletryzowany reportaż. Choroba ta wynika z powierzchownego przejęcia się słusznym — przy głębokim jego potraktowaniu — postulatem fabularnego, opisowego, czy nawet dramaturgicznego ożywienia reportażu.

Na chorobę tę zapadają nawet pożyteczni skądinąd dziennikarze, którzy mogą być — i często są — autorami dobrych notatek czy artykułów, ale zbyt łatwo i zbyt powierzchownie pojmują zadania literackiej faktografii. Usłyszeli coś o beletryzacji i bez większego wysiłku (a co gorsza: bez poważniejszych wyrzutów sumienia) wypracowali kilka łatwych sztamp, które mają nadawać ich pracy pozór literackości. Wygląda to mniej więcej tak, że zaczyna się od pseudopisarskiego rysunku postaci: „Sołtys Grula uśmiechnął się, splunął siarczyście, pociągnął papierocha i rzekł..." Albo: „Radny Michcik, miły, starszy pan w rogowych okularach, nie sprawia wrażenia siłacza, a jednak..." Lub „Dął silny wiatr. Utapiani w błocie szliśmy poprzez zagajnik ku widniejącemu z dali POM-owi..."

Po takich „literackich" introdukcjach dziennikarz — spłaciwszy w swoim przekonaniu domiar beletryzacyjny — ciągnie prosty jak drut artykuł, by w zakończeniu dodać: „Rosną ludzie jak las". Albo: „Radni powiatu Siąpały są jak ojcowie dzieciom" itp. Taniocha takich chwytów, bolesna i żenująca, kalkuluje się jednak wielu dziennikarzom słabiej odczuwającym powołanie reporterskie i — niestety! — wielu redaktorom powierzchowniej traktującym pedagogikę swego zawodu. Schorzenie niebezpieczne. Wymagające leczenia. I to chyba radykalnego.

Inne schorzenie, mniej groźne, ale również oczekujące mądrej terapii, to schisophrenia raptualis, czyli mówiąc popularnie: gwałtowne rozdwojenie jaźni, które polega na tym, że kandydat na reportera wewnątrz jednego utworu jest na przemian zdolnym dziennikarzem i zdolnym literatem, ale nie potrafi być nimi jednocześnie. Materia dziennikarska oddziela się w jego twórczości od materii literackiej jak oliwa od wody. Można przeprowadzić w tak realizowanym utworze wyraźny podział: odtąd dotąd pisze członek Związku Literatów Polskich, a stąd dotąd — członek Stowarzyszenia reportażu szczelina większa niż odległość z Krakowskiego Przedmieścia na Foksal. Zgrabnym słowem wiążącym nikt jej nie przeskoczy. Trzeba ją w długich latach trudu i nauki zapełnić zrozumieniem organicznej jedności dzieła. Kuracja — jak widać — długotrwała, ale konieczna, Zwłaszcza, że na chorobę tę zapadają tacy, którym nieba nie poskąpiły i talentu dziennikarskiego, i uzdolnień literackich.

Gorzej jest z tymi, których nie ominęła poważniejsza przypadłość reporterska w omawianym przez dotychczasowe diagnozy zakresie. Przypadłość ta, to elephantiasis seu euphoria poetica, czyli mówiąc potocznie: nadmierne a niepowściągliwe rozpoetyzowanie reportażu. Postulat beletryzacji wśród ludzi dotkniętych tą przypadłością przekształca (lub raczej: zniekształca) reportaż w nowelkę, opowiastkę, ba, czasami nawet poemacik liryczny czy mały eposik. Zdezaktualizowane zostają w tak realizowanym reportażu niezwykle i ważne dla jego istoty, wręcz konstytutywne elementy faktograficzne. To, co jest czynnikiem współdecydującym o godności ideowo-artystycznej reportażu, zostaje w takim działaniu pseudoreporterskim zepchnięte do roli pretekstu, pełni funkcję pomocniczej tyczki ogrodniczej, po której piąć się ma bluszczowato pachnący groszek wadliwie zlokalizowanych, a w każdym razie niesłusznie zhierarchizowanych ambicji literackich, czyli reportaż tak pomyślany chce być ważny przez to, że nie zamierza w ogóle być reportażem. Zupełnie tak, jak gdyby ktoś np. budowę domu traktował jako podpórkę dla dachu. Albo np. dziecko przed kąpielą jako dodatek do wanny. Bardzo nielogiczne i bardzo często spotykane rozumowanie. Nic dziwnego, że wiele reportaży przypomina prawdę porzekadła o dziecku i kąpieli.

Wszystkie te schorzenia — których listę można i należałoby uzupełnić oraz dokładniej zanalizować — wynikają z nieprawidłowego traktowania w literackiej faktografii, jaką jest reportaż, właśnie owego pozornie zrozumiałego przymiotnika „literacka".

A jest jeszcze rzeczownik „faktografia". I wokół niego nagromadziło się wiele nieporozumień. A z tych nieporozumień wynikło niejedno schorzenie. Warto i w tym zakresie kilka najpowszechniejszych odnotować i z grubsza opisać, aby skłonić ku mądrej kuracji.

Nie będę mówił już zbyt długo o tych schorzeniach, które są bezpośrednio związane z opisanymi poprzednio niedomogami. Jest rzeczą oczywistą, że febra beletrisensis osłabia siłę faktografii, ośmiesza jej poważną wymowę, tak jak schisophrenia raptualis powoduje to, co można by nazwać metaforycznie osamotnieniem faktografii, lub — pozostając przy narzucającej się terminologii medycznej — osłabieniem jej gruczołów dokrewnych, tak jak wreszcie elephantiasis seu euphoria poetica powoduje złośliwą anemię faktografii, jej blednicę i inne chuchrowate choroby słabeuszy. To są zależności, z których wszyscy — jako tako otrzaskani z prawem organicznych związków każdej całości — muszą zdawać sobie jasno sprawę.

Są jednak w naszym reportażu schorzenia wynikające bezpośrednio z niewłaściwego pojmowania roli samej faktografii. Najgroźniejsze z nich schorzenie, to tuberculosa statistica, czyli popularnie mówiąc: szantażowanie cyframi. W tym stanie chorobowym powstają reportaże, które można pisać nie wychodząc z Głównego Urzędu Statystycznego lub „zrzynając" ordynarnie z ksiąg ewidencyjnych czy wykresów produkcyjnych tego lub innego przedsiębiorstwa. Liczba, będąca

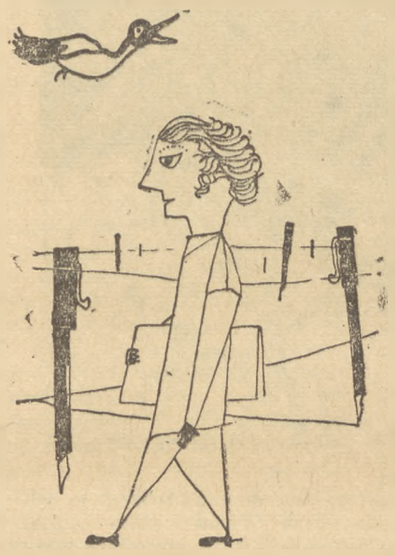

w reportażu ważnym i twórczym elementem, jeśli jest liczbą konkretną, żywą, prześwietloną ludzkim wysiłkiem i ludzkim zrozumieniem wysiłku — staje się w reportażu szantażującym golymi zestawieniami tylko znakiem bezsilności reporterskiej, współczesnym omamem kabalistycznym, jest po prostu czymś ukradzionym prawdzie żywej liczby.

Obok tego schorzenia, równie jak ono groźna i jakoś z nim związana, jest przypadłość, którą określić należy jako angina mentoris, czyli popularnie zwana dusznica mentorska. Wynika ona z naiwnie pojętej pedagogiki reportażu, a prowadzi do tyrad hurraoptymistycznych czy kaznodziejskich. Reportaż chory na angina mentoris wykorzystuje faktografię jako zbiór pobożnych przykładów, a nie jako element wiedzy o rzeczywistości. Na angina mentoris umiera się szybko: trochę większy wysiłek i już o jeden kiepski reportaż mniej. Chwała Bogu!

W ścisłym związku z tymi schorzeniami występuje — nieraz będąc ich pośrednią przyczyną — amor dermatologicus, czyli popularnie mówiąc: umiłowanie naskórka. Ślizganie się po powierzchni zjawisk, odfajkowywanie problemów, traktowanie jako jedynego źródła informacji — Biura Informacji, to najbardziej bezpośrednie przejawy tej grasującej dosyć powszechnie choroby.

Jakąś jej odmianą jest timor laboris, czyli popularnie mówiąc: lęk przed wysiłkiem, przed wyszukaniem zagadnień ważkich, odkrywczych, typowych dla danego zakresu zjawisk. Prowadzi to w ostatecznych konsekwencjach do febra coniuncturalis, czyli łowienia modnych tematów, tematów, które „chwytają", są „na tym etapie", „leżą na linii". Reportaże tego typu rzeczywiście najczęściej... leżą.

Przerwać jednak muszę w tym miejscu rejestr chorób, bo ktoś mógłby mnie posądzić, że sam choruję na reportażofobię, a tak przecież nie jest. I nie o choroby mi tu idzie, lecz o zdrowy, mocny reportaż.

Jeśli ma on — wypada to jeszcze raz powtórzyć — swoją godność ideowo-artystyczną podnosić przez ciągły wzrost siły literackiej faktografii, to wzrost tej siły chronić trzeba przed wszystkimi nieporozumieniami, wynikającymi z dezintegracyjnego traktowania zjawisk organicznie z sobą związanych, chronić przed wszystkimi przerostami i jednostronnościami, ułatwieniami i spłyceniami. Ba, chronić to mało. Potęgować trzeba ten wzrost przez coraz ambitniejsze zadania, coraz głębsze rozumienie tych zadań. A wszystkie one sumują się w jednym: towarzyszyć literaturze, wyprzedzać literaturę w dziele przeobrażania świadomości ludzi i przeobrażania świata, które dzieje się w ludziach i przez ludzi.

II

TE ogólne uwagi o reportażu snułem w związku z konkretną pracą, wynikającą z obowiązku jurora konkursu „Dziś i Jutro" ogłoszonego pod nazwą „Wędrując przez Polskę". Konkurs ten — jak wspomina w osobnym artykule Zbigniew Czajkowski — miał za zadanie wzbogacić i ożywić problem reportażu, miał stać się niejako próbą naszych sił w zakresie literatury przyspieszonej.

Jakie są jego wyniki? Jaka wartość zgromadzonego przez konkurs materiału? W jakim stopniu konkursowicze-reporterzy ulegają wspomnianym schorzeniom? Co konkurs dał polskiemu reportażowi?

Częściowo odpowiada na te pytania werdykt jurorów. Uzupełnią jakoś tę odpowiedź same prace, gdy — przez publikację prasową — przedstawią się osądowi czytelników. Ale zawsze istnieje potrzeba spojrzenia na taki konkurs niejako od strony kulis, potrzeba choćby ogólnego zbilansowania całości. Redakcja „Dziś i Jutro" prosiła mnie o podjęcie tego zadania.

Zanim postaram się je w telegraficznych niemal skrótach zrealizować, muszę prosić o uwzględnienie zastrzeżenia wstępnego. Byłem jednym z jurorów i jestem jednym ze stałych współpracowników redakcji, ale nie piszę ani w imieniu jury, ani w imieniu redakcji. Wspominam o tym dlatego, że chociaż jury obradowało bardzo zgodnie i wszystkie niemal werdykty ustalało prawie zawsze na zasadzie jednomyślności, chociaż z redakcją jestem najprawdopodobniej zgodny w ogólnej ocenie konkursu, te czy inne akcenty mojego omówienia mogą zarówno wśród członków jury, jak i w zespole redakcyjnym nie znaleźć pełnej aprobaty, a więc konieczne jest traktowanie ich jako cech wypowiedzi indywidualnej, a nie zbiorowej. Dzięki temu zastrzeżeniu nikt do nikogo innego nie może mieć pretensji — tylko do mnie.

Zastanowiła mnie najprzód liczba prac konkursowych: przysłano ich do redakcji około pół setki (dokładnie: czterdzieści siedem). Czy to dużo, czy mało? — myślałem. Doświadczeni koledzy wyjaśniali enigmatycznie, że ani dużo, ani mało, ale normalnie, przeciętnie, średnio. Mnie się jednak wydaje, że raczej skąpo. W każdym razie jestem przekonany, że konkurs na utwór poetycki obfitowałby w znacznie większą liczbę zgłoszeń, tak samo konkurs na nowelę czy opowiadanie, a już na pewno konkurs na wspomnienie czy fragment pamiętnika pomnożyłby tę liczbę co najmniej dziesięciokrotnie.

Czyżby znaczyło to, że mamy więcej poetów, nowelistów, pamiętnikarzy niż reporterów? Chyba nie. Świadczy to raczej, że reportaż — chociaż ciągle rośnie jego funkcja społeczna — nie jest jeszcze formą dostatecznie popularną, czy dla twórców atrakcyjną.

Ktoś mógłby wtrącić w te deliberacje nad cyfrowymi wynikami konkursu pocieszycielskie zdanie, że nie ilość, ale jakość.

Jak przedstawia się sprawa z tą jakością reporterskich prac konkursowych? Nagrodzono najlepsze, wyróżniono ciekawsze, odrzucono całkowicie słabe, ale o całości konkursu powiedzieć chyba trzeba, że nie ujawnił on rewelacji. Niby po konkursach nikt rewelacji się nie spodziewa, ale zawsze z przyjemnością

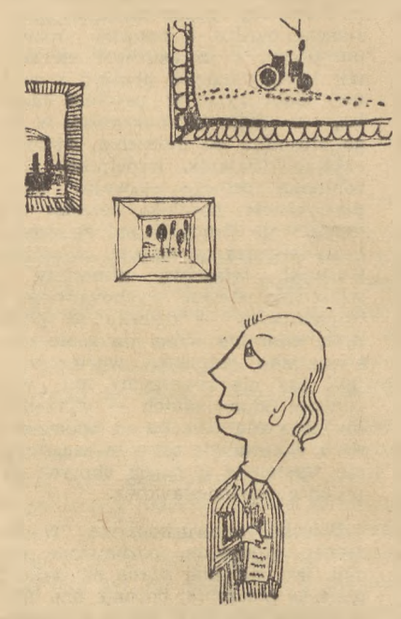

oczekuje się na jakąś bardzo radosną niespodziankę. I tym razem jednak niespodzianek takich nie było. To, co najlepsze i nagrodzone — jest dobre, to, co wyróżnione — zapowiada ciekawe możliwości rozwojowe autorów, reszta albo zaledwie poprawna, albo nawet od przeciętnej poprawności daleka.

Co w pracach konkursowych — traktowanych jako pewna całość — było i jest najciekawsze, to chyba przede wszystkim dość bujne rozgałęzienia tematyczne, problemowa wielokierunkowość reporterskich zainteresowań konkursowiczów.

Prawie wszystkie wyrastały — co jest rzeczą zrozumiałą i oczywistą — ze wspólnego pnia zainteresowania, ba, chyba bez przesady powiedzieć można: zaangażowania w przemiany rewolucyjne naszego życia.

Oprócz tego wspólnego pnia zauważyć można kilka zasadniczych konarów. Na pewno nie jest rzeczą przypadku, że takie sprawy jak sprawa Warmii i Mazur, Nowej Huty, Warszawy czy przebudowy wsi powtarzały się każda w kilku pracach im specjalnie poświęconych. Oczywiście jest w tym — zwłaszcza u słabszych autorów — coś ze wspomnianej febra coniuncturalis, ale jest także — przede wszystkim w tych utworach, które cechowała odwaga nowego spojrzenia — wiele z mądrego wyboru istotnych, węzłowych dla naszego życia problemów.

Oprócz głównego pnia i zasadniczych wyraźnie rysujących się konarów tematycznych prace konkursowe ukazały jednak rozgałęzienie zainteresowań reporterskich, sięgające poprzez różne zakresy naszego życia powojennego (jak lecznictwo, upowszechnianie kultury czy szkolnictwo) aż do zawsze bardzo istotnych, choć nie zawsze łatwo uchwytnych i obiektywnie wymiernych przemian tzw. życia prywatnego, przeobrażeń obyczaju, przekształceń sposobu myślenia, przebudowy świadomości.

Z tą dosyć dużą żywotnością i wielokierunkowością zainteresowań nie sprzymierzyła się niestety w pracach konkursowych — traktowanych tu w dalszym ciągu sumarycznie — konieczna zawsze odkrywczość reporterskiego spojrzenia i atrakcyjność formy. Dość często zdarzały się w ramach konkursu prace niejako powielaczowe, dość często reportaże konkursowe grzeszyły albo nadmierną beletryzacją, bez nasycania materii reporterskiej faktami, albo — co zdarzało się rzadziej — ciążyła nad niektórymi pracami sucha faktografia, nie przetłumaczona na język atrakcyjnej relacji. Na upartego niemal wszystkie opisane przez mnie na początku choroby reportażu można by egzemplifikować wieloma pracami konkursowymi. Nie o to jednak chodzi. Interesować nas powinny przede wszystkim utwory najbardziej udane. Wyodrębniają się one w dwóch grupach: cztery nagrodzone i sześć wyróżnionych. Fakt, że z niezbyt bogatego pokłosia konkursu postanowiono uhonorować odrębną pozycją aż dziesięć reportaży (a więc około 20 proc. całości materiału) nie oznacza bynajmniej, że konkurs stał — jak to się mówi — na wysokim poziomie, ale po prostu jest podkreśleniem ciekawszych ujęć reporterskiego zadania.

Pośród nagrodzonych prac konkursowych prawie wszystkie (z wyjątkiem jednej: „Mazury odbrązowione") przyjęły słuszną i poprawnie wykorzystaną metodę beletryzacji. Zarówno „Zepsute zabawki", „Troska i pieśni", jak i „Żywioł" metodzie tej zawdzięczają atrakcyjność ujęcia ważnych, ciekawie oświetlonych tematów.

Można by mieć w paru miejscach wątpliwości, czy autorzy tych prac (Wojciech Staszewski, Anna Morawska, Lucyna Osiewalska) nie przesadzili trochę w fabularyzowaniu swojej relacji reporterskiej. Niepokój ten zwłaszcza przy lekturze „Żywiołu" znajduje swoje realne uzasadnienie (np. w przerysowanej scenie z „niedobrym" statkiem angielskim, który nie reaguje na SOS kutra polskiego). Nie przekroczono jednak rozsądnej granicy umiaru.

Natomiast nagrodzone „Mazury odbrązowione" swoją siłę reporterską i dobrą lokatę konkursową zawdzięczają przede wszystkim niewątpliwemu, gorującemu nad wszystkimi innymi pracami bogactwu faktografii. Autor (Leszek Radzikowski) więcej trudu otarował rzeczowej, chciałoby się powiedzieć: namacalnej argumentacji, mniej natomiast uwagi poświęcił metodzie atrakcyjnego zorganizowania materiału. Jeśli jednak reportaż jego znalazł się słusznie wśród prac nagrodzonych, to dlatego, że — chociaż skąpy w atrakcjach formalnych — zdobył się na poprawność formalną, umożliwiającą korzystanie z dużego zasięgu wiedzy o przedmiocie.

Połączenie w zespole prac nagrodzonych i reportaży górujących atrakcyjnością formy, i reportażu wybijającego się zasobem rzetelnie gromadzonej wiedzy reporterskiej — powinno stać się podkreśleniem ważności obydwu tych czynników w rozwoju literatury przyspieszonej. I oprócz wszystkich innych funkcji ten werdykt jury powinien mieć dodatkową funkcję pedagogiczną, polegającą na przypomnieniu tak podstawowej dla reportażu sprawy.

Podobnie zresztą — w moim przekonaniu — rzecz ma się z wyróżnieniem drugiej grupy prac konkursowych. I tu — choćby z niezamierzonym, w co wątpię, pedagogicznym umiarem — znalazła swój wyraz zasada respektowania i inspirowania w reportażu łącznej ambicji, którą można sprowadzić do formuły: o problemach ważnych — możliwie ładnie i ciekawie.

Sześć wyróżnionych prac — wyliczając w porządku alfabetycznym nazwisk autorów: „Tędy płynie less", „Wisła pachnąca fenolem", „Wyspa wczesniaków", „Gdzieś na Mazurach", „Kwitnące sady" i „Krótkometrażówka" — stanowi wyraźny przejaw ambicji rozsądnego zbeletryzowania reportażu, a jednocześnie ukazuje próby dotarcia do tematów bądź nieśmiało przemilczanych, bądź omawianych niejako półgębkiem, traktowanych naskórkowo. Autorzy tych prac (Ryszard Brzozowski, Stanisław Pagaczewski, Wanda Pieńkowska, Tadeusz Stępowski, Jan Świdziński, Wanda Zakrzewska), którzy zresztą w znacznej mierze nie są debiutantami, bo już niejednokrotnie gościli na łamach pism katolickich, potrafili w swoich pracach konkursowych dokonać — z różnym powodzeniem — syntezy faktografii z atrakcyjnością formalną, co kwalifikuje ich utwory do rzędu literatury przyspieszonej.

Oczywiście zarówno reportaże nagrodzone, jak i wyróżnione nie są ideałami. To i owo można by w nich dyskusyjnie krytykować. Tak samo jak pominięcie milczeniem reportaży, które nie doczekały się ani nagrody, ani wyróżnienia, nie oznacza wcale, że w poklosiu konkursu były one bezużyteczną plewą. I w tej trzeciej — bardzo zresztą zróżnicowanej — grupie spotkać można fragmenty lub nawet całości dość ciekawe. Mnie na przykład zainteresował reportaż „Z krainy dalekich widnokręgów" (godło „Próba). Z dużym zajęciem przeczytałem pracę pt. „Którzy przechodzą zapomnianí" (godło „Lucjan"). Nie żałowałem czasu przeznaczonego na lekturę utworu „Niezwykłe trofea jednej nocy" (godło „Homo sum"). Podobała mi się w tych reportażach pasja docierania do najtrudniej uchwytnych przemian obyczajowości, sposobu myślenia i odczuwania człowieka wpisanego i współtworzącego naszą rzeczywistość.

Osłabiały te reportaże swoją siłę literacką anonimowością, brakiem konkretniejszego zaplecza faktograficznego.

Ale czas już przerwać te dywagacje szczegółowe. Zrezygnować także trzeba z próby ustalenia czegoś w rodzaju geografii młodych środowisk reporterskich, chociaż ciekawe jest, dlaczego w świetle konkursu na pierwsze miejsce wysuwa się Warszawa i Kraków, a nie widać Łodzi czy Poznania... Może o tym kiedy indziej i kto inny napisze.

Ja chciałbym na tym miejscu jedno w zakończeniu swoich uwag podkreślić: konkurs trwa. Ci wszyscy, którzy podjęli trud zadań reporterskich, każdą swoją pracę traktować powinni jako pracę konkursową. Ba, jako pracę, która chce zdobyć pierwsze miejsce w konkursie rzetelności, poczytności, atrakcyjności reportażu.

Dopiero wtedy gdy każdy wysiłek reporterski będzie podejmowany na najwyższą miarę indywidualnych możliwości autora, dopiero wtedy gdy każdy autor możliwości swe będzie doskonalił przez coraz pełniejszą wiedzę o życiu społecznym i przez coraz głębsze zrozumienie zadań współtworzenia kształtu nowej epoki — reportaż stanie się nie tylko sojusznikiem literatury, stanie się literaturą przyspieszoną.

ZYGMUNT LICHNIAK

W poszukiwaniu „szalejącego reportera"

(Dokończenie ze str. 1)

krok do dalszej próby swych sił, do porównania swych osiągnięć na szerszej arenie. Debiut literacki rodzi się najczęściej w atmosferze współzawodnictwa.

Konkurs literacki jest właśnie taką areną, na której potykają się młodzi pisarze. Fakt ograniczenia tematu określoną treścią i formą ma wobec nich znaczenie wręcz odwrotne niż wobec doświadczonych już twórców. Nie jest czynnikiem hamującym, lecz przeciwnie — dodaje bodźca do jak najbliższego dotarcia do przedmiotu, do wdarcia się w głąb jego istoty, do ukazania jego prawdy.

Konkurs spełnia w tym wypadku funkcję pobudzania do twórczości pisarskiej. Dlatego też nie jest istotne, że poziom nadesłanych prac może nie zwiastować rewelacji, że wyróżnione utwory nie otwierają nowego rozdziału w literaturze. Nadzieje organizatorów konkursu, związane z jednostkowym wykryciem talentu, okazują się często nierealne, a nawet społecznie szkodliwe. Przeważnie bowiem się nie spełniają, natomiast zaprzepaszczają dziesiątki lub setki prób debiutanckich, które w przyszłości, dzięki wzmożonej pracy autorów i pomocy udzielonej im ze strony krytyki, mogą stać się pełnowartościowymi dziełami. Taka była przecież droga wielu najwybitniejszych pisarzy. Jest to droga prawidłowego rozwoju, którego czynnikiem przyspieszającym jest praca.

Społeczna szkodliwość „czyhania" na talent wynika z niedoceniania właściwej funkcji, jaką spełniać winien konkurs. Dzięki temu, że staje się on areną masowego współzawodnictwa, operuje niezmiernie ważnym elementem — liczbą. Liczba ma w tym wypadku magiczną moc, która rządzi... właśnie talentami. Zagadnienie umasowienia pewnych zjawisk np. kulturalnych, oświatowych, sportowych prowadzi nie tylko do szerokiego rozejścia się treści tych zjawisk po całym społeczeństwie. Równocześnie bowiem podnosi się przeciętny poziom odbioru tej treści przez społeczeństwo. Pójdźmy jeszcze dalej. Klasy społeczne, dotąd upośledzone, które odczuwały brak jakiejkolwiek opieki kulturalnej i były pozbawione udziału w życiu kulturalnym narodu, stają się dzięki upowszechnieniu zjawisk kulturalnych nie tylko pełnowartościowymi ich odbiorcami, ale również obiecującymi dawcami. Ileż to talentów kryło się właśnie na wsi czy też w robotniczych rodzinach!

Słowo „talent" nosi znamię nadziei, jaką przywiązuje się do zdolności twórcy. Lecz w momencie odkrycia na pewno „talent" ten nie wykracza poza pewną poprawność i przeciętność artystyczną. To, co różni go od innych, mniej utalentowanych konkurentów, może być zaznaczone wiekiem, silniejszym uczuleniem artystycznym, charakterystycznym i obiecującym fragmentem przyszłego, naprawdę wielkiego dzieła. Ocena nasza jest więc oceną przewidywanego rozwoju i możliwości.

Te same uwagi należy odnieść do wszystkich uczestników konkursów. Im większa jest ilość uczestników, tym silniejszy oddźwięk społeczny konkursu, tym większe też prawdopodobieństwo wydobycia z masy uczestników naprawdę zdolnych twórców. Dalszy ich rozwój wymaga stałej i solidnej troski, której owocem po upływie pewnego czasu może się stać wartościowe dzieło. Na tym polega istotny sens wszystkich konkursów, których wysoka, a nawet czasem nadmierna ilość nie powinna niepokoić wszystkich oponentów, upatrujących w tym zjawisku proces obniżania twórczych wartości. Sceptycyzm ten należy zastąpić postawieniem postulatywnej tezy, która winna obarczyć wszystkich organizatorów konkursów, jurorów, krytyków, literatów — tezy o konsekwentnym „trwaniu" konkursu, o opiece nad jego zdolniejszymi uczestnikami, o pracy nad nimi w imię przyszłych dzieł.

Przy omawianiu tego problemu nie można pominąć jeszcze jednego czynnika — wychowywania i kierowania masami. Każdy konkurs ma sprecyzowaną treść, hasło lub formę, które określają wyraźnie wymagania stawiane przez organizatorów. Dzięki temu organizatorzy dzierżą w swym ręku ster danej imprezy. Nie trudno chyba się domyśleć, jaki wywiera to skutek nie tylko na ludzi czynnie zainteresowanych w konkursie, ale również na obserwujących go z pozycji zwykłych czytelników. Można kruszyć kopie o słuszność czy też niesłuszność tzw. „komenderowania" kulturą, ale trzeba w tym wypadku zgodzić się ze zdaniem, że każdy konkurs jest jakąś formą „komenderowania", narzucania przez organizatorów słusznej ich zdaniem czy też służebnej im w określonym celu problematyki. Dzięki konkursom można bowiem kierować uwagę na niedoceniane lub ukryte przed społeczeństwem problemy, rozwijać je i przyswajać. Jest to swego rodzaju szkoła masowego wychowywania społeczeństwa.

III

Dlaczego konkurs na reportaż?

Na pytanie to nie można dać prawidłowej odpowiedzi, nie uwzględniając tematu konkursu. Reportaż jest bowiem integralnie związany z faktami, z rzeczywistością, z dziejącymi się wydarzeniami, i odrywanie go od tej rzeczywistości, traktowanie w sensie abstrakcyjnym byłoby równoznaczne z ucięciem jego zasady.

Reportaż jest literaturą życia, działania się. Chwyta rzeczywistość tak jak obiektyw aparatu fotograficznego lub — powiedzmy poprawniej — kamery filmowej. Przedstawia bowiem pewien wycinek życia, wprawdzie ograniczony czasem i miejscem, niemniej jednak podobny i bliski do innych wycinków, spotykanych przez nas na każdym kroku. Jego siła przekonywania polega na zestawieniu faktografii, zaznaczeniu właściwą kreską tych elementów, które reporter chce zbliżyć do nas swoją artystyczną kamerą — swym piórem.

Reportaż jest formą literacką naszych czasów, literaturą „przyśpieszoną", jak ją nazywają jedni, lub literaturą „pośpiechu", jak usiłują zdefiniować inni. Definicja nie jest w tym wypadku ważna. Ważny jest fakt ogromnej popularności reportażu, jego wzmagającego się wciąż znaczenia. I jakkolwiek są tacy, którzy z nieufnością, a nawet i odrazą patrzą na jego gwałtowny wzrost, dopatrując się w nim metody uproszczonej literatury, to ich opozycja jest nieistotna, jest trudem Don Kichota. Istotne bowiem są fakty.

W tym gwałtownym rozwoju znaczenia reportażu są jednak i pewne trudności. Ukazują się tak, jak dysproporcje w budowie fizycznej dziecka, które wybujało przedwcześnie. Gdybyśmy takiemu dziecku chcieli skroić ubranie według ustalonych i przyjętych w ludzkim rodzaju proporcji, okazałoby się, że jednak nie leży na nim odpowiednio. Nogawki byłyby za krótkie, stan prawdopodobnie za długi. Ustalone proporcje nie odpowiadałyby rzeczywistym kształtom.

Podobnie przedstawia się sprawa z reportażem. Jak można wnioskować z podejmowanych dotąd dyskusji nad reportażem, jego budową, charakterem, spornym problemem przewagi w nim beletryzacji czy też tylko faktografii, sprawa pozostała nadal otwarta i nierozwiązana, jak poprzednio. Dziecko nie dało się ująć w karby teoretycznych form.

Co prawda mamy świetne przykłady reportaży, choćby wymienianego już przeze mnie „szalejącego reportera" Kischa, czy w Polsce Mariana Brandysa, Pawła Jasienicy, Kazimierza Koźniewskiego, wreszcie inne mniej udane, inaczej pojęte, inaczej interpretowane. Spotykamy się z nimi codziennie w dziennikach; są różne. Niektóre z nich budzą sprzeciw czytelników i niepewność redaktorów, którzy dla pewności opatrują go koniecznym nagłówkiem: „reportaż".

Te okoliczności rosnącego powodzenia — i to powodzenia, które powstaje nie bez konfliktów — zwróciły naszą uwagę na reportaż. Wybór tematu — „Wędrując przez Polskę" — zakreślał szerokie ramy inicjatywie uczestników, bez wskazywania pryncypialnego zagadnienia. Z tego powodu autorzy otrzymali dodatkowe zadanie indywidualnego zawężenia tematu. Zadanie niełatwe, dla wielu na pewno kłopotliwe, zwłaszcza że ilość spraw godnych pióra jest ogromna.

Wyniki? Jury ogłosiło swój komunikat. Pierwsza ciekawość została więc zaspokojona. Lecz jest to dopiero wstęp do samego problemu. Na jego rozwinięcie czekamy.

Zbigniew Czajkowski

WOJCIECH STASZEWSKI

I Nagroda w Konkursie na reportaż

Zepsute zabawki

Jedni stoją w pełnym świetle,
inni zaś w ciemności, z boku.
Tych widzimy, co są w świetle,
nie widzimy tamtych w mroku.
(BERTOLT BRECHT)

— Proszę wstać! Sąd idzie!

Oto finał całej sprawy. Rozgrywa się już na sali sądowej. Trzech młodych ludzi ma odpowiadać za ciężkie przewinienie: zabójstwo leśniczego, rozrzucanie ulotek szkalujących Polskę Ludową i usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy. W toku zeznań oskarżonych stało się jasne, że na sali sądowej nie ma jednak głównego przestępcy...

Miał sklep z zabawkami w centrum Wrocławia. Dochodowe to przedsiębiorstwo służyło mu tylko za parawan. Główne bowiem dochody czerpał z innej profesji, a prawdziwymi jego zabawkami byli ludzie.

Zabawek było wiele. Dobrze mu służyły, bo umiały bystro patrzyć na otoczenie, na nasz kraj i przemiany w nim zachodzące. A obserwacje te były właścicielowi sklepu bardzo potrzebne. Był on szefem siatki szpiegowskiej gehlenowskiego wywiadu.

„Zabawki" swoje poznawał na wczasach w dolnośląskich uzdrowiskach i w zacisznych kawiarniach wrocławskich. Wreszcie któregoś dnia pytał:

— Zastanawia się pan? Po co? Czeka na pana takie wspaniałe życie... Trzeba się tylko zdecydować!

I niektórzy decydowali się.

Trzej młodzi ludzie z ławy oskarżonych zdecydowali się już dawno. Teraz prokurator rozpoczyna przemówienie.

BIAŁY SŁUPEK, HARMONIA I RZECZYWISTOŚĆ

JAKŻE piękny jest żołnierz Wojsk Ochrony Pogranicza na rysunkach! Oto stoi przy białym słupku, brwi ma nienaturalnie ściągnięte, jedna ręka ściska efektownie karabin, a druga znieruchomiała salutując. Biały słupek oznacza oczywiście granicę. Stoi standartowy żołnierzyk przy białym słupku lub gra na harmonii i uśmiecha się, pokazując białe zęby, mogące z powodzeniem być wspaniałą reklamą pasty „Chlorodont". Tak wygląda WOP-ista na rysunku.

Żołnierz, przepuszczający nas w górę obok wodospadu Kamieńczyka „zabija" rękami dla rozgrzewki i woła:

— A uważajcie, okryjcie się lepiej! Bo tam koło strażnicy, to gluty w nosie zamarzają...

Jedziemy toboganem ratowniczym, zaprzęgniętym w konia wojskowego. Zastępca dowódcy jednostki WOP-u, woźnica i reporter. Śnieg wesoło bryzga spod płozów toboganu. Mróz dochodzi do dwudziestu stopni, a koń spocony! Wysoko musi ciągnąć naszą trójkę.

W pobliżu strażnicy otulamy się szczelniej w kożuchy. W myśl wskazówek żołnierza.

Wita nas dowódca strażnicy, oficer S. Trochę jest zaskoczony naszą wizytą. Jadący ze mną zastępca dowódcy jednostki jest częstym gościem w strażnicy, ale żeby „prasa"? Tak wysoko? I po takim śniegu? Nie do wiary! I on jest przyzwyczajony do tego, że jeżeli piszemy o żołnierzach WOP-u, to przedstawiamy ich tak, jak nieudolny rysownik. Przy białym słupku lub z harmonią i wyszczerzonymi zębami.

Od czego tu zacząć? Ano, zacznijmy od niedopałka papierosa, na którym oficer S. uczy żołnierzy spostrzegawczości.

Dowódca, zanim jeszcze został dowódcą strażnicy, przyswoił sobie na całe życie mądrą zasadę — niczego nie robić „na gorąco". Mimo że nie zna łaciny, postępuje w myśl przysłowia: *„festina lente"*. Śpieszy się, lecz powoli, ucząc nowicjuszy uderzać bezbłędnie, znajdować drogę według gwiazd, pamiętać każdy krzak, pień i kamień na ziemi, której mają przez trzy lata strzec jak źrenicy własnego oka. Dlatego kształci w młodych żołnierzach spostrzegawczość, wyrabia bystrość umysłu i przepaja specjalną czujnością wobec rzeczy i ludzi spotkanych na pograniczu.

Dzisiaj oficer S. przyniósł na ćwiczenia zwykły niedopałek papierosa, znaleziony rzekomo w lesie.

Przydzieleni ostatnio do strażnicy młodzi WOP-iści obsiedli dowódcę w krąg. Wścibski reporter jest również między nimi.

— Co widzicie? — pyta dowódca.

Wzruszam z politowaniem ramionami. No, jasne — niedopałek papierosa... Przecież nie wieloryba! Ale przyzwyczajony do karności żołnierz odpowiada:

— Niedopałek papierosa.

— To wszystko? Przypatrzcie mu się dobrze i zameldujcie.

Żołnierz starannie ogląda niedopałek — jest wilgotny, żółty i ma napis w czeskim języku.

— Czeski niedopałek! — woła z radością żołnierz.

— I co więcej? Nic? Nie patrzcie na napis — to nie szkoła dla analfabetów! Ale ot, popatrzcie...

Tu dowódca rozpoczyna dziesięciominutowy wykład na temat znalezionego niedopałka. Otóż palący go osobnik przechodził już dawno — niedopałek jest pożółkły ze starości — z tamtej strony granicy zapewne — kto bowiem u nas pali czeskie papierosy? — przeszedł przez granicę dniem — przestępca nocą nie paliłby, bojąc się że może patrol spostrzec tlący się ogień — był albo nieostrożny, albo niedoświadczony — w przeciwnym razie schowałby niedopałek — ktoś mu przeszkodził — pozostała niewypalona połowa papierosa — i używał cygarniczki z wąskim otworem — o czym świadczy mocno skręcony koniec papierosa...

Teraz już nie wzruszam ramionami. Rozumowanie całkiem nie głupie.

— Uważajcie na wszystko — kończy oficer S. — słuchajcie, jak huczy puszczyk, jak skrzypi drzewo, patrzcie, którędy najłatwiej przeprawić się na tamtą stronę... Bądźcie uważni i czujni. Pamiętajcie, że znak zapytania jest ważnym znakiem.

— Słyszysz? — spytał półgłosem.

— Tak, tak — mówi już do mnie — to wszystko nie są błahe sprawy. Przekonacie się o tym zresztą sami. Chcecie, to zapoznam was z ostatnimi, ciekawszymi wydarzeniami, których epilog rozgrywa się w tej chwili na sali sądowej...

Słuchałem cierpliwie, wodziłem wzrokiem za palcem dowódcy, pokazującym pewne miejsca na mapie, jechałem naszym toboganem na tzw. „wizję lokalną". I doszedłem do jednego wniosku — służba w WOP-ie nie jest łatwa. Świadczą o tym wypadki ostatnich tygodni.

ZAGADKOWI TURYŚCI

CIEMNA noc otuliła Karkonosze. Z wagonu kolejowego ledwo widać kontury gór. Pociąg minął Piechowice i Górzyniec, zatrzymując się potem na trzech kolejnych stacyjkach Szklarskiej Poręby. W górnej wysiadło kilkunastu wczasowiczów i mieszkańców osiedla.

Trzej turyści z plecakami wolno podawali dokumenty WOP-istom.

— Na wczasy?

— Tak, do „Perły"...

— O, to macie kawałek drogi. Możecie chwilę poczekać, my też idziemy w tamtą stronę, pokażemy wam drogę. Nie będziecie błądzić po nocy — powiedział żołnierz kontrolujący dokumenty.

Ale trzej turyści nie skorzystali z propozycji WOP-isty. Szybko zeszli stromą dróżką od stacji. Zatrzymali się dopiero na dole pod zegarem, wiszącym nad kioskiem „Ruchu". Stał tam wysoki mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu i palił papierosa.

Jeden z turystów podszedł do niego i przypalając papierosa, spytał:

— Jak daleko stąd do „Perły"? My na wczasy... Pracownicze — dodał.

— Do „Perły" — tu mężczyzna badawczo spojrzał na wczasowiczów i odparł powoli cedząc słowa: — Lepiej jedźcie gdzie indziej na wczasy. Ta perła nie należy do drogocennych. Jest bez blasku.

— A znajdzie pan lepsze miejsce?

— Tak. Numer ODT — 1093 zna pan?

— Znam. Prowadź nas pan...

Mężczyzna rzucił niedopałek i sprężystym krokiem ruszył szybko przed siebie. Trzej turyści za nim.

„SPOKOJNA GŁOWA!"

CIEMNO było jeszcze na dworze, ale koguty rozpoczęły już swą poranną muzykę. Pusto było na ulicach osiedla. Tylko w jednym domu na krańcu „Białej Doliny" krzątało się kilku ludzi po pokoju, skąpo oświetlonym słabą żarówką. To nasi nocni turyści wraz ze swym przewodnikiem szykowali się do dalszej drogi. Trudno byłoby ich teraz poznać. Ubrani byli w stare marynarki i postrzępione spodnie, trzymali na ramionach piły, a za paskami mieli zatknięte siekiery.

— Ulotki zabrałeś? — spytał jeden z nich.

— Mam — odparł drugi, przypinając narty.

Z sąsiedniego pomieszczenia wyszło dwóch ludzi i po chwili wyjechało na nartach na ulicę.

— Kto to? — spytał jeden z turystów.

— Koledzy — odparł przewodnik. — To taki pomysł racjonalizatorski, wabik na WOP-istów...

— A jak tam patrole? — niespokojnie dopytywał „turysta".

— Spokojna głowa! Damy sobie radę. Oni będą odwracali uwagę patrolu.

— To co? Dadzą się złapać, żeby nas osłonić?

— Tak. Będą nawet uciekać, żeby WOP-iści strzelali za nimi — wtedy my szybko przemkniemy. Dobrze pomyślane, co?

— Którędy idziemy?

— Przez Łabski Szczyt.

Na ulicy jeden z „turystów", przemienionych obecnie w „drwali", wyjął coś z torby przewieszonej przez ramię i pochylił się. Zostawił pierwszą paczkę ulotek...

Po chwili cała czwórka przejechała szybko na nartach, kierując się w stronę gór.

ŚLADY NA ŚNIEGU

LEŚNICZY Antoni Matysiak przeciągnął się na zaimprowizowanym posłaniu. Wiatr huczał bijąc w ściany małego baraku. Wreszcie stary Matysiak zdecydowanym ruchem zrzucił z siebie nakrycie i zaczął szykować się do drogi.

— Diabli nadali to rychłe wstawanie! — mruczał pod nosem.

Był jasny, mroźny ranek. Słońce leniwie wychodziło zza chmur. Trudno — do drwali trzeba jechać. Leśniczy przypiął narty, odepchnął się kijkami i już szusował na dół.

W pewnym miejscu nachylił się. Na śniegu widać było świeże ślady nart. Niedawno musiało przejechać tędy czterech narciarzy. Widać było, że śpieszyli się, odpychając się nierównomiernie kijkami.

— Ciekawe, kto to? Nasi drwale rzadko na nartach jeżdżą. A komu by się chciało zapuszczać tak wysoko?

Przemytników już nie ma, a szpiedzy przecież do Czechosłowacji nie chodzą... Uspokojony Matysiak pojechał dalej, przecinając świeże ślady. Po chwili jednak stanął znowu. Oto widać było nowe ślady, tym razem dwóch narciarzy. Ślady na śniegu intrygowały starego leśniczego.

— Tak — myślał — do Czechosłowacji szpiedzy nie chodzą, ale przecież za tym krajem jest państwo, gdzie szkoli się właśnie szpiegów i dywersantów... Czegóż chcą ci ludzie, których ślady wyraźnie biegną w stronę granicy?

Decyzja zapadła szybko. Trzeba pojechać do strażnicy WOP-u. A może to właśnie szpiedzy?

W tej chwili ranną ciszę przeszyły trzy strzały...

„TO JUŻ BYŁO WLICZONE DO RACHUNKU"

TE same strzały usłyszeli trzej „drwale" wraz ze swym przewodnikiem. Najstarszy z nich aż zgiął się ze strachu.

— Strzelają... — wyszeptał

— To nic. Dopiero ostrzegawcze strzały.. A teraz szybko naprzód! — rozkazał przewodnik.

Znowu rozległ się grzechot pistoletu maszynowego, a w chwilę potem czyjś bolesny jęk. Wysoki „drwal" otarł rękawem wiatrówki spocone czoło.

— Tam chyba mordują kogoś...

— Et, głupstwo. A gdyby nawet to i ta ewentualność wliczona była do rachunku...

Wszystko ucichło. Słychać było tylko stękanie wysokiego, nie mogącego dać sobie rady z uciążliwym podchodzeniem pod górę.

„PUŚĆCIE NAS PANOWIE..."

PATROL Wojska Ochrony Pogranicza kończył obchód swego odcinka. Jeden z żołnierzy, kapral Władysław Vogel, drgnął nagle i zatrzymał się.

— Słyszysz? — spytał półgłosem starszego strzelca, Krzysztofa Aciejewskiego.

Wytężyli słuch. Gdzieś daleko skrzypnęła złamana gałązka. Słychać było głośną rozmowę dwóch ludzi. WOP-iści pobiegli w tamtym kierunku. Wkrótce ujrzeli niewyraźne cienie dwóch narciarzy.

— Stać! — krzyknął Vogel. — Służba graniczna!

Odpowiedzią było jedynie skręcenie narciarzy pomiedzy kępy kosodrzewiny i przyśpieszenie przez nich tempa jazdy. Żołnierze ruszyli za nimi.

Odległość między uciekającymi a żołnierzami zmniejszała się z każdą chwilą. Vogel krzyknął ponownie, a gdy i to nie poskutkowało, strzelił trzy razy w powietrze.

Uciekający nie stanęli. Wtedy nacisnął spust automatu. Seria strzałów przeleciała już niżej, tuż nad głową narciarzy. Stanęli, a jeden z nich rzucił się na ziemię i boleśnie jęczał.

— Nie strzelać! — wołał drugi. — Stoimy!

Natychmiastowa rewizja nie dała żadnych rezultatów. Jęczący uciekinier nie miał żadnej rany. „Histeryk.." — pomyślał Vogel. Zatrzymani wzruszali ramionami na wszystkie pytania i mówili, że ot, tak wybrali się na wycieczkę narciarską... Są mieszkańcami osiedla.

— A dlaczego uciekaliście? — pytał Aciejewski.

— Baliśmy się, że będziecie za nami strzelać...

— No, przecież strzelaliśmy właśnie wtedy, gdy zaczęliście uciekać...

Obaj zatrzymani spojrzeli po sobie i westchnęli:

— Puśćcie nas, panowie, my spokojni ludzie. O, przy was zjedziemy na dół, do osiedla. Macie przecież nasze dokumenty. My nic złego nie chcieliśmy.

— Ty wiesz, tu coś śmierdzi... — szepnął Aciejewski do Vogla. — To wygląda cholernie niewyraźnie.

— Dlaczego oni nie zatrzymali się na nasze wezwanie? I czemu szli tak głośno? Gdyby to byli przestępcy, chcący przejść granicę, zachowywaliby się dużo ostrożniej, a znowu gdyby byli niewinni, nie uciekaliby...

— A może oni po prostu maskowali czyjeś przejście.. — domyślił się Aciejewski.

— To zupełnie możliwe. Odprowadź ich na strażnicę, zameldуj o wszystkim dowódcy, a ja pójdę jeszcze dalej.

TAJEMNICZY DRWALE

VOGEL posuwał się szybko po śniegu. W pół godziny dotarł do kępy krzaków. Raptem na jej skraju zamajaczyły sylwetki czterech ludzi. „To ci!" — pomyślał kapral. Skierował w ich stronę pistolet maszynowy i wezwał do zatrzymania się. Stanęli i zachowywali się zupełnie spokojnie, nie zdradzając ani cienia obawy.

Wyglądali zwyczajnie, jak drwale, chodzący tu na wyrąb lasu. Mieli przy sobie potrzebne do pracy narzędzia: dwie piły i siekiery. Skwapliwie okazali dokumenty, pokazując nawet kontrakt pracy. Kaprala zaciekawiło, czemu tak wcześnie idą do pracy.

— Panie, przecież my nie na dniówkę, płacą nam od metra. Dlatego jak tylko rozwidnia się, idziemy na wyrąb. Forsy, jak zwykle, trzeba.. — wyjaśniał jeden z nich, uśmiechając się.

Słusznie. Vogel był nawet zły na siebie, że zadał tak głupie pytanie. Ale mimo to nurtowało go jakieś nieokreślone podejrzenie. Tam dwaj zatrzymani, tu znowu ci drwale na nartach... A przecież drwale zwykle jeżdżą swoimi końmi lub chodzą pieszo... Chcąc wygrać na czasie i zastanowić się, zaczął pytać o pogodę w dole, w osiedlu, o ich odcinek pracy, ale rozmowa nie kleiła się. Wreszcie jeden z drwali zapytał:

— To co? Możemy już iść? Tam robota czeka na nas...

Nie było podstaw do zatrzymanie. Dlatego kapral kiwnął głową i pozwolił im odejść, sam zaś ruszył w przeciwną stronę. Odjeżdżając obejrzał się i spojrzał tylko przelotnie na piłę, którą rozmawiający z nim drwal zawiesił zamaszystym ruchem na ramieniu. Wówczas poczuł, że mu się w głowie rozjaśnia. Przeczucie go nie zawiodło.

Vogel wychował się na wsi. Od młodych lat pomagał ojcu w gospodarstwie. Rąbał i piłował kloce drzewa.... Ostrzył ojcu siekierę i piłę, równiutko rozprowadzał jej zęby, żeby dobrze brały piłowane drzewo.

A piła, którą miał drwal, była zupełnie nowa — zęby nie naostrzone i nie rozprowadzona. Taką piłą drzewa nie utniesz...

Odczekał chwilę. Czterej drwale byli już za laskiem. Skierował się w stronę Łabskiego Szczytu. Teraz trzeba ich zaskoczyć.

GRANICA PRZERWANA!

NA strażnicy cisza. Rozlega się tam tylko chrapanie. Jak to — śpią w dzień? W dzień i w nocy — całą dobę. O północy wrócił patrol, nad ranem również przyszli żołnierze z obchodu. Wrócili, ułożyli według regulaminu przemokłe spodnie i bluzy — teraz śpią.

Do dowódcy przyszedł leśniczy Matysiak. Mówi o napotkanych śladach i usłyszanych strzałach.

— Taaak, zastanawiające. Zarządzimy alarm. Służbowy — do mnie!

— Granica przerwana! Alarm!

Okrzyk ten podrywa na nogi wszystkich żołnierzy. I tych, co się wyspali, i tych, co się spać dopiero położyli.

Po chwili spod strażnicy ruszają z psami patrole w poszukiwaniu przestępców.

— Ja też pójdę — mówi stary Matysiak. — Może i ja złapię jakiego szpiega... — żartuje.

NA ŁABSKIM SZCZYCIE

NA rysunku stoi standartowy żołnierz przy białym słupku lub gra na harmonii. Setki kilometrów dalej, gdzie nie ma ani słupka, ani harmonii, klęczy kapral Vogel wypatrując przez lornetkę, czy nie widać jeszcze przestępców. Nauszniki podniesione, chociaż dwudziestostopniowy mróz mocno daje się we znaki. Niechaj marzną uszy, byleby słyszały każdy szelest. Niechaj palce przykleją się do cyngla, byle być w pogotowiu...

Przejść tędy jeszcze nie mogli. Vogel zjechał „skrótem" znanym tylko WOP-istom. Czeka teraz na „drwali". Przy samym przekroczeniu granicy wpadną w potrzask.

Na rozległej hali, leżącej na granicy lasu poniżej Łabskiego Szczytu stoi jedno z najstarszych schronisk wysokogórskich po śląskiej stronie Karkonoszy. Schronisko to powstało jako buda pasterska przy prastarym szlaku wiodącym tzw. „Czeską Drogą" przez grzbiet Karkonoszy do Czech. Powstało ono jeszcze w XVI stuleciu, gdy rozgorzał długotrwały spór między Śląskiem a Czechami o Karkonosze. Schronisko pełniło rolę punktu kontrolnego podczas ówczesnych napięć granicznych. Tutaj schował się Vogel i czatuje na przestępców.

Już ich widać. Schyleni szybko suną na nartach. Za chwilę przekroczą granicę...

Nie. Oznajmiając swą obecność serią strzałów wyskakuje Vogel naprzeciw nich i krzyczy:

— Ręce do góry! Bo strzelam...

W jednej chwili czterej „drwale" padają na ziemię i starają się zamaskować za krzakami. Jeden wyciąga pistolet, a drugi powstaje, lekko pochyla się i zjeżdża z góry.

Vogel strzela do tego z pistoletem, pistolet wylatuje na śnieg, ale tamten na nartach jest już daleko. Uciekł.

Pozostała trójka wychodzi zza kępy kosodrzewiny i z podniesionymi rękami staje przed Voglem. Rozpoczyna się powolna wędrówka — już bez nart.

W pewnej chwili jeden z zatrzymanych odwraca się i pyta kaprala:

— Proszę pana, ile wam płacą za zatrzymanie człowieka podczas próby przekroczenia granicy?

Zdumienie maluje się na twarzy WOP-isty. Przestępca pojmuje je opacznie.

— Bo widzi pan — mówi — my mamy przy sobie pieniądze. Nawet w złocie. Może ubijemy jeszcze interes... Forsa każdemu potrzebna...

Gdyby nie musiał rąk trzymać w górze, z pewnością w tym miejscu zatarłby je tak charakterystycznym ruchem handlarzy.

Interesu nie ubili.

Po jakimś czasie natknęli się na patrol wysłany ze strażnicy Dwóch żołnierzy pomogło Voglowi konwojować zatrzymanych, a dwóch ruszyło w poszukiwaniu zbiega, nawołując resztę patroli.

STRACH

PRZY lada szeleście gałęzi oblewał go zimny pot. Kurczowo chwytał kijki od nart i szybciej odpychał się nimi. Paniczny strach przesłaniał mu oczy, zbieg potykał się o zlodowacenia, jechał nieostrożnie. Kurczowo czepiał się życia. Jeszcze parę kilometrów i będzie w osiedlu. A potem — żegnajcie WOP-iści! Trzeba będzie próbować szczęścia gdzie indziej...

Przypadł do ziemi na rozległym pustkowiu wśród paru krzaczków kosodrzewiny, aby nabrać oddechu przed ostatnim zjazdem. Nagle zadrżał, na myśl, że może być śledzony. Skurczył się jeszcze bardziej i rozejrzał wokoło. Istotnie. Z lewej strony, na skraju lasu stał człowiek z przewieszonym przez ramię karabinem i pilnie przyglądał się okolicy. Jak każdy tchórz, tak i ten przestępca stracił w decydującym momencie panowanie nad sobą. Z silnym rozpędem wyskoczył zza kępy i pomknął na dół. Gdy wreszcie oprzytomniał, spostrzegł, że zgubił kijek. Obejrzał się.

Spod strażnicy ruszają patrole w poszukiwaniu przestępców.

Nieznajomy jechał za nim. Rzucił kijki, a za to trzymał wycelowany w niego karabin.

ZABÓJSTWO

STARY Matysiak zobaczył zbiega. Natychmiast ruszył za nim w pogoń. Wycelował fuzję.

— Stój! Stój! — wołał.

Przestępca sunął po śniegu, nie zatrzymując się.

— Przestraszę go, wyceluję trochę wyżej. Niech wie, że mogę strzelać... — postanowił leśniczy.

Podniósł fuzję do ramienia i nacisnął spust. Strzał rozdarł ciszę, a ścigany człowiek upadł nagle. Jedna narta spadła mu z nogi, druga zaś stanęła sztorcem. Matysiak zdumiał się. Jak mógł trafić przeciwnika, skoro mierzył dużo wy-

(Dokończenie na str. 7)

JERZY KOŁĄTAJ

PROGI BYWAJĄ WYSOKIE

DOSYĆ żywo jeszcze pamięta się dni roku 1948, kiedy to Kazimierz Wyka z zakasanymi rękawami sortował pierwsze po wojnie produkty literatury i ustawiał je na swoim podręcznym bazarze zaopatrzonym w szyld o pograniczu powieści. Uwagi o Gołubiewie podsumował w słowach: „Jego „Bolesław Chrobry" już teraz posiada wszelkie szanse, ażeby pozostać w trwałym dorobku naszej powieści historycznej, a szanse te jeszcze może pomnożyć". W książce Wyki został zamknięty między innymi pierwszy okres znamiennej eksplozji powieści historycznej po wojnie w postaci książek Gołubiewa, Parnickiego, Grabskiego i Bunscha. Otwarta została natomiast szeroka dyskusja, w której padały pod adresem Gołubiewa najróżniejsze głosy: wypowiadała się i Rzeuska, i Żukrowski, i Flaszen, i Kisielewski. Pominęło się oczywiście wiele nazwisk. Na łamach „Odrodzenia", „Odry", „Nowej Kultury", „Dziś i Jutro", „Tygodnika Powszechnego", „Arkony" i innych nazywano książkę Gołubiewa „pieśnią o narodzie", „eposem socjologicznym, religijno-moralnym, historycznym".

Dziś łatwiej odczytać zamierzenie artystyczne Gołubiewa. Wtedy było trudniej: książka dopiero rosła.

Bednorz spierał się z Żukrowskim, czy rewolucja, i czy mas. Doda rozwiewał na własną rękę wątpliwości mówiąc patetycznie okrągłym zdaniem o tym, co ważne w książce Gołubiewa: „nie dzieje Bolesława, lecz Polska wydobywająca się z puszczy na szlak swych dziejowych przeznaczeń".

W ogóle bowiem naczelna idea „Chrobrego" długo nie dawała spokoju. Szukano jej wyjaśnienia w szyfrowaniu genezy. Jedni mówili: współczesna przez analogię walk polsko - niemieckich tamtych i obecnych czasów; inni współczesność widzieli w akcie autorskiej odpowiedzi na tezę niemiecką o przypadkowości istnienia państwa polskiego. Do wyjątków należał głos Flaszena (o piastowskiej epidemii), który na marginesie swoich uwag o Gołubiewie dowodził, że pisarze katoliccy poszukując swego heroicznego rodowodu piszą o początkach chrześcijaństwa polskiego będącego właśnie wtedy siłą agresywną, że „śnią o potędze"; twierdził wreszcie w mimowolnym zdziwieniu, „że literatura walcząca o wyzwolenie człowieka z pęt zmysłów jest zarazem literaturą najbardziej zmysłową".

Trudno pamiętać, kto odpowiedział na to, musiał być wszakże cięty, gdy mówił, że recenzja Flaszena o Gołubiewie byłaby aktualna i wtedy, gdyby dzieło pisarza było grafomańskim kiczem, na którego omówienie szkoda atramentu, czasu i miejsca w szanującym się piśmie. Co zaś do tych zmysłów i wyzwolenia, to tak się paradoksalnie złożyło, że grzesznik i święty są najbliżej istoty chrześcijaństwa. Trudno. Tak jest.

Słowem odzywały się głosy namiętne. Chodziło nie tylko o hierarchiczne ustalenie miejsca dla „Chrobrego" w potoku współczesnej produkcji literackiej, także o sprecyzowanie zadań przed nią wtedy w ogóle stojących.

Bo to był czas, kiedy u Gołubiewa Wojciech odgadywał tajemnicę swego życia, Bolesław dochodził do rozumienia władzy, a Latorosłka nie pojmowała, dlaczego gorycz jest jedynym smakiem wierności.

A jednocześnie to był czas, kiedy z drugiej strony na tzw. niwę literatury wjeżdżały z warkotem po raz pierwszy w jej dziejach traktory, by w ramach likwidacji odłogów... Nie trzeba rozwijać ogólnie znanego sensu tej żartobliwej metafory. Długo czekaliśmy na wzrost pierwszego kłosu na nowinie, na „Pamiątkę z Celulozy" i tłum obywateli z książki Brandysa. Żaden z nich nie był podobny do Stanisławskiego, Malika i Brody spod szesnastego od Wilczka, ani do ludzi Zalewskiego, którzy traktorami mieli zdobyć wiosnę.

Udaną inwazję dla stałego zagospodarowania się w Nowym podjęli podobni do Szczęsnego, Kuźnarów i Zbrożka, ale nie tylko: równe prawo do obywatelstwa począł mieć Morawiecki razem z nierozwikłanym splotem swoich ciągłych wątpliwości i zagadnień tyleż zakorzenionych w życiu co i śmierci.

Z tamtych lat nie utopiły się w czasie tylko niektóre książki; Andrzejewskiego zaś rzecz ocalała, nie wiadomo, czy z racji na diament, czy na popiół właśnie.

To były lata, w których współczesność czekała na kształt i domagała się go. W świetle zaś tak zawężonego zagadnienia współczesności książka Gołubiewa padała na tło zupełnie obcym konturem.

Przychodzą tu na myśl dawniejsze trochę czasy, kiedy to pozytywiści atakując Henryka Sienkiewicza zarzucali go rojem dyskwalifikujących argumentów, że powieść historyczna jako twór fikcyjny godzi w prawdę, zniekształca właściwe proporcje faktów, stylizuje tylko zewnętrznie przedstawianą rzeczywistość. Padały tam wtedy i inne zarzuty, które w zestawieniu z ostatnio zdecydowaną społeczną funkcją literatury zyskują jeszcze na aktualności: Powieść historyczna odrywa od ideałów współczesności, a malując z przesadną zazwyczaj idealizacją czasy dawne wywołuje zniechęcenie do dnia dzisiejszego, wytwarza półsennych marzycieli, jest narkotykiem, który odurza i osłabia.

Pan Sienkiewicz wytaczał na łamy tygodników swoje kolubryny i odpierał zakusy na powieść historyczną niechybionymi argumentami: rozważanie przeszłości wychodzi zawsze na korzyść — wyjaśnia teraźniejszość, uczy przyszłości.

Obecnie perspektywa zarzutów wtedy aktualnych odwróciła się całkowicie. Nikt już nie pisze powieści historycznych dla „pokrzepienia serc" chyba w tym tylko znaczeniu, w jakim cała ludzka sztuka serca winna krzepić, nikt też nie kwestionuje dziś pożytecznego istnienia powieści historycznej jako gatunku. Wątpliwości zaś gromadzą się jedynie wokół tego, jak zamknąć w literaturę współczesne treści i jakie treści współczesnymi nazwać. I do rozważania tych zagadnień równe prawo będzie miał Brandys jako pisarz tzw. współczesny, co i Gołubiew jako (w opinii niektórych) tzw. pisarz niewspółczesny.

Oczywiście, wszelką dyskusję na temat wyboru tak tematyki, jak i problematyki utworów literackich można by pozornie przeciąć z pomocą dumnego argumentu sienkiewiczowskiego. Stary mistrz cytował w podobnych okolicznościach starożytnego poetę: „Jam jest pszczoła z Hymettu, unoszę się nad wonnymi cząbrami gór, siadam, na którym chcę kwiecie — i zbieram miód mój, skąd chcę". A od siebie dodawał: „Taką pszczołą jest twórczy duch ludzki! Nie da on sobie odjąć swej wolności, zamykać dróg, otoczyć zastrzeżeniami, wtłoczyć w formułki i przepisy. Sam on zawsze sobie wybierał i drogi, i ideały — i przy tych, które pokochał, będzie trwał zawsze".

Niesposób podtrzymać bez zastrzeżeń tego stanowiska. Tak jak pojęcie natchnienia poetyckiego w owym powszechnie przyjętym romantycznym znaczeniu uległo dewaluacji, tak i wolność pisarza brzmi dziś trochę fałszywym dźwiękiem. Bo o ile można uchronić się od przymusów administracyjnych tych, którzy pragną zbyt mechanicznie kierować rozwojem współczesnej kultury, to niesposób uniknąć wszystkich najbardziej osobistych psychicznych konsekwencji, które Nowe ze sobą niesie.

Nie jest już dziś odkryciem, że cecha współczesności tkwi nie w zewnętrznej fakturze dzieła i w zasobach jego materialnych realiów. Sięga ona nieco niżej — między innymi tam, gdzie zostawiony sobie, samotny człowiek niosąc na barkach ciężar osobistych skłonności i przyzwyczajeń niezdarnie przeprawia się przez próg dwu epok, z których każda zabija połowę jego istoty.

W tym sensie Brandys i Gołubiew piszą książki współczesne.

„CZĘŚĆ CZWARTA"

KSIĄŻKA Gołubiewa nie jest, jak wiadomo, pozycją odrębną w twórczym dorobku autora. Nie sięgamy zatem po nią w spodziewaniu zetknięcia się z nowym tematem. Znamy już Gołubiewa i znamy „Chrobrego", którego dalszy ciąg stanowią właśnie „Rozdroża". Tu jednak wbrew oczekiwaniom tkwi tej książki atrakcyjność. Pisana nie przez miesiące czy kilka lat, a od początku prawie kariery pisarskiej swego autora, towarzyszy mu przez cały czas, karmiąc się mimo historycznej tematyki wszystkimi aktualnymi treściami, które autor przeżywa i które go codziennym wpływem kształtują. „Panta rei" — jak się do znudzenia powtarza za odwiecznym Heraklitem. Piętnaście lat zmienia nie tylko wszystkie tkanki naszego ciała — tysiąc spraw i tysiąc ludzi nicuje w ciągu tego czasu naszą — choćby z monolitu — duszę na twór różny poprzedniemu. Stąd w książkach o tematyce historycznej biorą się takie sceny, jak ta prosta rozmowa między Chruścielem i Żagiewką o wojnie. Nie o wojnie z Henrykiem, kiedy to „trza będzie znowu zasiekiem legnąć", lecz o wojnie w ogóle. Do istotnego ciężaru pewnych spraw doprowadza nas wiek współczesny, pozwalający jak żaden przedtem pojąć znaczenie, zdawałoby się, jak ludzkość starych pojęć: pokoju i wojny.

To są jednakże tylko drobiazgi, w których przegląda się współczesność. Są inne elementy leżące w samej zasadzie książki i te niebywale przystają do najistotniejszych zagadnień współczesnych czyniąc z historycznej lektury „Chrobrego" lekturę o nad wyraz żywotnych problemach.

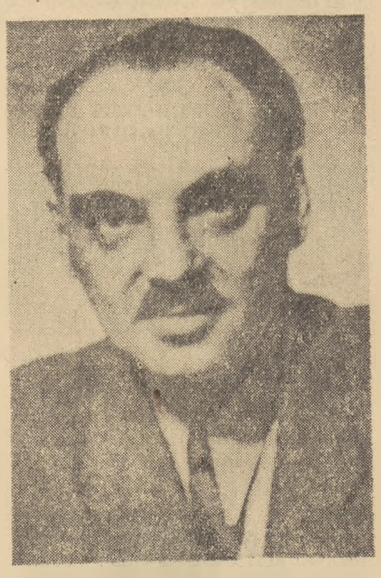

Antoni Gołubiew

*

DOPIERO przy okazji tomu „Rozdroży" czytelnik może w pełni przeżyć ową niezwykle przyjemną rzecz, jaką częstuje nas lektura powieści epopeicznej — mianowicie, zjawisko upływającego czasu. Dokonywania się syntez, które ogarniamy z wysoka. Dotyczy to niekiedy najzupełniej drobnych spraw. W pozdrowieniu dwóch ludzi, z których pierwszy powiada „z Dadźbogiem", drugi zaś (akcentując) „z Jezu Krystem" znajduje swój lapidarny wyraz odwieczny problem starcia w czasie Nowego ze Starym.

Wskazówką poruszaną przez upływający czas jest w „Rozdrożach" aktywne wystąpienie młodego pokolenia. Czytelnik następstwo pokoleń przeżywał już raz w książce Gołubiewa, w tomie II:

Naszym ojcom wystarczały
Ryby słone i cuchnące
My po świeże wychodzimy
W oceanie pluskające...

Ale pokolenia heroldów nowego porządku czytelnik nie znał. Weszło w chwili gdy sypały się próchna starego ładu. Zmiany, jakim poddany jest świat ludzi „Rozdroży", są zatem głębiej dynamiczne. Bo dynamikę tę czytelnik współwyzwala znając do gruntu podłoże każdej rozgrywki.

Ogromne rzesze ludzi Gołubiewa poczynają tworzyć przemyślny organizm konstrukcyjny. Z wyjątkiem starego Muni nie pojawia się w powieści żadna ważniejsza nowa postać. Gołubiew realizując swoje zamierzenia ucieka się do innego sposobu. Zaskakuje nas niepoliczoną masą wariacji i komplikacji akcjowych. — Księżyca Mieszkę łączy ze Skrą Turówną, której ojciec jęczy z rozkazu Bolesława na Złotej Górze; Świrszcza, statystę poprzednich tomów, czyni buntowniczym bohaterem i stawia go w środku spraw ważkich; Dzierżkowi każe objąć władztwo nad polaną Zaboja, a rodzinne klejmo przejąć jako rodowy znak.

Można by sporządzić długi rejestr i wykreślić szczegółową mapę powikłań, związków, komplikacji, które nie tylko dynamizują akcję, rozciekawiają osnowę ciągów fabularnych, lecz przede wszystkim stwarzają znakomite możliwości sproblematyzowania zagadnień. Gołubiew w tym zakresie jest po prostu humanistycznym wynalazcą, a „Rozdroża" w dotychczasowych tomach „Chrobrego" celują pod tym względem.

Trudno w tej chwili wyrokować, co będzie stanowić główny ośrodek problemowy omawianej części — centrum, wokół którego zgrupują się zespoły zagadnień? Z uwagi na sprawę Brunona z Kwerfurtu ośrodka tego trzeba zapewne upatrywać dalej, w przełomie Stare — Nowe, a raczej w owych rozlicznych wariantach i subtelnościach stanowiących wyraźny etap w rozwoju pewnych idei i dojrzewaniu wcześniej postawionych problemów.

Próg epok odbija się w całym zespole właściwych konfliktów i losów ludzkich. W gąszczu własnych spraw i zaaferowaniu nimi ludzie tylko mimowolnie niejako stanowią różnobarwne szkiełka ściśle zorganizowanego witrażu.

Bugaj nie pojmuje ofiary świętych mężów. Jego dzikość buntuje się przeciw słabości, tej, która mocą psychiki Brunona z Kwerfurtu wytrąci mu bojowy topór z dłoni.

Nielub nie powraca do kraju, bo nie wierzy, aby Orczyca mogła kiedykolwiek wyjść z cienia, który pada od grodu Ledarga.

Zaboj... Sliźnie... — trudno przekreślić ruchem ręki to, co było treścią dotychczasowego życia.

Problem bezsilnego buntu i brutalnego zdeptania tych, którzy nie pozwolili się przeszczepić na nowy grunt nawet za cenę śmierci, wygnania czy straty wolności, pokazuje autor w bogatym tle dramatycznych szczegółów. Odrębne i samodzielne a głęboko humanistyczne sprawy: Bugaja w eremie, Nieluba u Dunów, Zaboja Tura na Złotej Górze i Lubuszy Śliźnia poza wałem opuszczonego grodu, każą chylić głowę przed każdym z tych negatywnych bohaterów. Jak przed ruinami starych zamków — zniszczonych przez czas...

I przez siłę Nowego, które najpełniejszy wyraz znalazło tym razem w postaci Brunona. Należy on w „Chrobrym" do licznie reprezentowanej grupy apologetów nowego porządku i formalnie rzecz biorąc stoi w szeregu obok Wojciecha, Tunieg, Ungera i Kędziorka. I tu jednak Nowe przyjmuje nader różnorakie kształty: od kształtu męczeństwa za sprawę i od mistycyzmu, poprzez wytrawny racjonalizm i znajomość zasad, zdawałoby się, współczesnej taktyki dyplomatycznej — do pospolitego interesu i płaskiej podłości.

Trudno w krótkim szkicu omówić szczegółowo moralny sens konkretnych epizodów. Drzewo Nowego wszystkich czasów zawsze miało ludzi, którzy stanowili jego korzenie, i tych, którzy czepiali się konarów pasożytniczą jemiołą.

W śmiertelnym zwarciu się dwu przeciwnych sobie światów nie tylko rodziła się śmierć. Jednocześnie krzepła siła nowych ludzi. Przez nich Nowe weszło w niedostępne komysze puszczy. Jako eremowa pieśń mnichów płosząca zaklęcia pogańskich wieszczków, żerców i wołchwów i jako twarde i świadome oświadczenie Żarka, że on będzie grododzierżcą Sliźniów. W aktywnych wystąpieniach Żarka, Darska, Mieszki Bolesławowica i całej kompanii widać często tyleż nieudolności, co dynamicznej ochoty oddania się sprawie, której starzy nie potrafili odczuć, a nie chcieli zrozumieć.

Nowe jest sprawą młodości — nosi w sobie rzeczywistość nie spełnionych dotąd ideałów i kryje urzekającą tajemnicę rzeczy jeszcze nie doświadczonych.

*

WIELU z tych, którzy interesowali się książką Gołubiewa od chwili przyjścia jej na świat, miało za złe autorowi, że w „Rozdrożach" znów komplikuje losy Latorosłki. Nikt nie lubił Zefrida i z chwilą jego śmierci nic nie stało na przeszkodzie do związania bohaterki z Kłąbem: ich wytrwałej miłości należała się taka nagroda.

Indagowany w tej materii autor zdradził w tajemnicy, że po pierwsze: nie wie, co oni mogliby po połączeniu dalej w książce robić („Ich miłości potrzebne zapachy lepkich świerków — nieznany krasny świat"), a po drugie: Latorosłka nie może wyjść za Kłąba, bo w ostatnich chwilach Zefrida nie podjęła czynnej akcji, by ratować męża. Stąd Latorosłka musi zostać człowiekiem samotnym, jeśli nie ma być człowiekiem podłym.

Takie prawa rządzą życiem nie tylko powieściowych bohaterów — także wszystkich uczciwych ludzi.

Nie podobna się zgodzić z uwagami niektórych recenzentów, że Gołubiew pisze apologię chrześcijaństwa będącego w czasach Bolesławowych siłą agresywną. Jego bohaterowie w niczym nie przypominają cieniów ludzkich Bossuty czy Bolesława z książki Grabskiego o Jarlu Broniszu, książki, która była swego czasu traktowana przez autora jako „akt walki w potopie faszystowsko - totalistycznego bezbożnictwa Niemców o Polskę chrześcijańską".

Gołubiew nie w takim klimacie pisze swoje dzieło. Nie stwarza kamiennych ideałów. Pisze książkę o człowieku i życiu, którego wynosi na szczyty, osadza na mieliznach, topi i wskrzesza na nowo. I o czasie, który życiu wyznacza koleiny.

Stąd książka dźwiga w swoich kartach ładunek prawd współczesnych.

Jerzy Kołątaj

*) Antoni Gołubiew: Rozdroża. Wydawnictwo „Pax". Warszawa 1954, s. 428.

O FESTIWALU W CANNES

PO niemal półrocznej przerwie (ostatni wielki festiwal filmowy skończył się we wrześniu ub. roku w Wenecji — zaś festiwal w Puenta del Este nie cieszy się dużą popularnością) spotkali się wybitni filmowcy z całego świata, producenci zaoferowali swe „przeboje", zebrane na przestrzeni tego całego okresu, kinematografie wyciągnęły swe największe atuty. Słowem: oczy wszystkich widzów świata zwróciły się na południe Francji.

Na tegoroczny przegląd nadesłało swoje obrazy ok. 50 narodowości ze wszystkich części świata, z których po wstępnej selekcji na ekran festiwalowy weszło ponad 40 filmów pełnometrazowych i kilkadziesiąt krótkich. Obok tak uznanych potęg filmowych świata jak Włochy, Japonia, USA, Francja, ZSRR, czy Anglia, wystąpiły również młode kinematografie: egipska, grecka, izraelska, peruwiańska, boliwijska, bułgarska. Ponadto obok oficjalnego przeglądu festiwalowego odbywają się projekcje filmów, które nie zostały dopuszczone do pełnego konkursu ze względów formalnych, dyplomatycznych czy cenzuralnych. Są one także cennym uzupełnieniem tego bogatego wachlarza filmowego.

„Złotą palmę" tegorocznego festiwalu otrzymał amerykański film „Marty". Wśród dziennikarzy festiwalu krążyły opinie, że jeżeli film francuski „Awantury wśród ludzi" otrzymał nagrodę za amerykańską reżyserię (film realizował amerykański reżyser Jules Dassin) — to film amerykański „Marty" za „włoski" scenariusz. Tyle jest prawdy w tej historii, autentyzmu i ciepła. Zupełnie jak u Zavattiniego — pisała prasa. Jest to historia miłości młodej pary włoskich emigrantów w nowojorskiej dzielnicy Bronx. Aż dziw bierze, że w odległości nie całych 3 kilometrów od Wall Street (film realizowany jest w autentycznych plenerach) można przemawiać „neorealistycznym" językiem. Odbijał on zdecydowanie od pozostałych filmów amerykańskich, które poza swoimi walorami formalnymi i technicznymi nie wnosiły nic interesującego. Nagrodzony film „Na zachód od Adenu" jest adaptacją powieści Steinbecka, dokonaną przez najbardziej modnego obecnie reżysera E. Kazana. Jest to jakaś zmodernizowana wersja połączonych opowieści biblijnych o Kainie i Ablu oraz Adamie i Ewie. W nieciekawym filmie „Człowiek przeszedł" wyróżniono świetną kreację Spencera Tracy. „Dziewczyna z prowincji", jest melodramatyczną historią o człowieku chorym na brak woli. Te trzy ostatnie filmy zrealizowane są w kolorach i dla ekranu panoramicznego. Jednak banał pozostaje zawsze banałem, choćby pisać go na najbardziej wytwornym papierze.

„Znak Wenery" — bezpretensjonalna komedia włoska została na Festiwalu przyjęta chłodno.

ZWIĄZEK Radziecki zdobył na tegorocznym festiwalu 3 nagrody: za kreacje aktorskie w filmie „Wielka rodzina", za film muzyczny „Romeo i Julia" oraz Sergiusz Wasilew za reżyserię filmu bułgarskiego „Szturm na Plewnę". „Wielka rodzina" jest adaptacją znanej powieści pt. „Zurbinowie". Na tle dziejów rodziny stoczniowców opowiada on o konfliktach moralnych współczesnego społeczeństwa radzieckiego. Film „Romeo i Julia" jest próbą filmowej adaptacji baletu Sergiusza Prokofiewa pod tymże tytułem. Żywy poklask wśród publiczności festiwalowej znalazła znakomita kreacja taneczna Ułanowej. „Szturm na Plewnę" jest wspólnym dziełem filmowców radzieckich i bułgarskich. Reżyserował go współtwórca „Czapajewa" — Sergiusz Wasiliew. Tematem filmu są walki narodowo-wyzwoleńcze Bułgarów przeciw jarzmu tureckiemu. Szczególne uznanie u publiczności i jurorów zdobyły pejzaże filmowe i sceny batalistyczne przeprowadzone z wielką maestrią. Również radziecki film „Złota antylopa" zdobył nagrodę w dziedzinie filmów rysunkowych.

JEDNĄ z pięciu nagród międzynarodowych obok USA i ZSRR otrzymała Francja za film „Awantura wśród ludzi". Film zrealizowany został przez bardzo utalentowanego reżysera amerykańskiego Julesa Dassina. Tematem filmu są dzieje bandy gangsterskiej. Drugim, naprawdę interesującym filmem francuskim, była „Czarna teczka" Andre Cayatta. Film demaskuje metody policyjne i zakłamanie sądownictwa francuskiego.

Poza konkursem wyświetlano najnowszy film Jean Renoira „Francuski cancan". Krytyka określiła ten film jako powrót tego wybitnego reżysera do realistycznych tradycji kinematografii francuskiej. Tematem filmu są czasy „fin de siecl'u i słynnego kabaretu Moulin-Rouge. Inny bardzo dobry film „Bel-Ami", z powodu intryg cenzuralnych nawet poza konkursem nie został prasie pokazany.

„Złoto Neapolu" i „Znak Wenery" reprezentowały na Festiwalu kinematografię włoską. Ostatni film Vittorio de Sici i Zavattiniego „Złoto Neapolu" przyjęty był na Festiwalu bardzo chłodno. Ten wzruszająco prosty film o życiu mieszkańców Neapolu widzianego od strony kuchennych schodów, a nie luksusowych przewodników, złożony jest z kilku epizodów opartych na nowelach pisarza włoskiego Marotta. „Znak Wenery" jest bezpretensjonalną komedią młodego reżysera włoskiego Dino Risi. Pokazuje ona życie dwu młodych kobiet, z których jedna cierpi na kompleks „nieatrakcyjności dla mężczyzn", zaś druga z powodu nadmiernego powabu swych wdzięków spotyka partnerów zainteresowanych tylko w krótkotrwałym romansie.

Triumfator Festiwalu w Cannes z ub. roku — Japonia wystąpiła z filmem o tematyce współczesnej pt. „Kalendarz kobiet" oraz z filmem historyczno-obyczajowym „Ukrzyżowani kochankowie". „Ukrzyżowani kochankowie" są adaptacją dramatu Monsaemona Czikamatsu zwanego japońskim Szeksbirem i opowiada o historii miłości dwojga młodych, którzy nic mogą się pobrać z racji panujących praw feudalnych. Realizatorem filmu jest Kenji Misoguczi, którego dwa poprzednie filmy „Opowieści księżycowe" i „Rządca Sanszo" otrzymały nagrody na festiwalu weneckim w 1953 i 54 roku. Film ten uważany jest przez krytykę japońską za najlepsze dzieło tego reżysera, a adaptacja za mistrzowską w przekazaniu szlachetnych i postępowych tradycji klasyki japońskiej literatury.

Karol Reed i Edward Dmytryk reprezentowali swoimi filmami kinematografię angielską. Niestety oba filmy są bardzo słabe. Karol Reed w filmie „Dziecko i jednorożec", którego scenariusz jest mdłą opowieścią o życiu ubogich dzielnic londyńskich, zaprezentował poziom b. daleki od tego, jaki podziwialiśmy w filmie „Niepotrzebni mogą odejść". Edward Dmytryk, realizator wyświetlanego u nas obrazu „Za cenę życia", adaptował powieść Grahama Greena „Sedno sprawy". Krytyka angielska określiła ten film jako fiasco artystyczne zarówno pod względem formalnym jak i ideowym.

Z INNYCH pozaeuropejskich kinematografii uwagę zwrócił Egipt, Meksyk i Indie. Indie reprezentowały dwa filmy „Czyściciele butów" i „Biraj, mąż". Pierwszy, zarówno w stylu jak i tematyce, przypomina wyświetlane u nas „Dwa hektary ziemi", zaś drugi poświęcony jest sprawie okrucieństw obyczajowych w dawnej rodzinie hinduskiej. Film egipski wbrew tytułowi „Życie lub śmierć" jest nie pozbawionym humoru ufabularyzowanym reportażem z życia młodej dziewczyny, zdobywającej lekarstwo dla ojca. W filmie tym widać jak wpływy neorealizmu włoskiego dotarły aż pod piramidy.

Meksykański film „Korzenie" jest pełną świeżości i temperamentu opowieścią o życiu ludu. Film złożony jest z 4 nowel, które obrazują klęskę głodu, oskarżają zabobony i ukazują wysoką moralność Indian, w przeciwieństwie do białych kolonizatorów. Film ten zrealizowany został przez Benito Alazraki niejako na marginesie oficjalnej produkcji meksykańskiej wg. opowiadań ludowego pisarza Francesio Rojas Gonzajeza. „Korzenie" zostały nagrodzone przez Międzynarodową Federację Krytyki Filmowej, która przyznaje dorocznie swoje nagrody po ogłoszeniu listy jurorów Festiwalu.

Drugim laureatem krytyków filmowych był wyświetlany poza konkursem film hiszpański „Smierć rowerzysty". Film ten z racji swoich postępowych tendencji nie był dopuszczony do Festiwalu przez cenzurę frankistowską.

Z innych ciekawych pozycji poza konkursem był film produkcji jugosłowiańsko-norweskiej „Krwawa droga", który ukazywał okrucieństwa hitlerowców w czasie ostatniej wojny. I on nie został dopuszczony do oficjalnego konkursu z powodu usilnych zabiegów dyplomacji adenauerowskiej.

Z państw demokracji ludowych oprócz wspomnianej Bułgarii, reprezentowane były Węgry adaptacją XIX-wiecznej komedii „Liliorafi"; Czechosłowacja z adaptacją powieści Jiraska „Psiogłowcy" oraz Polska z krótkometrażowym filmem dokumentalnym „Niedzielny poranek" A. Munka, który uzyskał pochlebną opinię prasy.

JAK wynika z tego, bardzo pobieżnego, przeglądu tegoroczne nagrody festiwalowe nie były tyle odzwierciedleniem panującej sytuacji w świecie filmowym, ile podkreślały ciekawsze osiągnięcia w twórczości różnych narodów.

I tak np. nie wyróżniono tak doskonałych filmów jak włoskiego „Złoto Neapolu" czy japońskiego „Ukrzyżowani kochankowie", które są kontynuacją dotychczasowych osiągnięć tych dwu szkół filmowych. Zwrócono natomiast uwagę na „novum", jakim były w twórczości amerykańskiej realistyczny film „Marty", czy w filmie „Wielka rodzina" pogłębienie konfliktów psychologicznych, które w filmach radzieckich ostatnich lat zbyt często przesłaniały historyczne dekoracje.

Pozostałe nagrody wprawdzie miały charakter wyróżnień walorów formalnych, ale też i nie one ustalały charakter festiwalu. Nagrody krytyki filmowej i przyjemna atmosfera publiczności wobec postępowych osiągnięć sprawiły, że Festiwal był manifestacją pochwały człowieka, prostych ludzi.

A. O.

ALFONS KLAFKOWSKI

„OD NORYMBERGI DO UKŁADU PARYSKIEGO"

(Za kulisami niemieckiego rewizjonizmu)

POD takim tytułem ukazała się ostatnia książka napisana przez profesora Uniwersytetu Warszawskiego, dr Jerzego Sawickiego.* Do nazwiska autora można dodać wyjaśnienie, że jest to wybitny prawnik, jednocześnie teoretyk i praktyk, erudyta nieprzeciętnej miary. Jako prokurator norymberski reprezentował prof. Jerzy Sawicki interesy polskie przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Pracę na tym odcinku kontynuował jako oskarżyciel w wielu procesach przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym, toczącym się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w naszym kraju. Krótko mówiąc prof. Jerzy Sawicki jest znawcą problematyki niemieckiej w skali — żeby nie używać określeń banalnych — reprezentującej chyba niejeden instytut niemcoznawczy.

Tytuł ostatniej pracy prof. Jerzego Sawickiego zawiera pewien element mogący budzić zastrzeżenia. Jest to mianowicie liczba pojedyncza „układu paryskiego" występująca w tytule. Dlatego na wstępie należy wyjaśnić, że zasadnicza linia obserwacyjna autora tej książki jest skoncentrowana na problematyce remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Stąd z układów londyńsko - paryskich 1954 roku interesuje autora w pierwszym rzędzie ten układ, który dotyczy remilitaryzacji Niemiec zachodnich. To tłomaczy zwężenie pojęcia układów paryskich w tytule tej cennej i niezwykle interesującej pracy.

Jest rzeczą niemożliwą przedstawienie bodaj w zarysie problematyki zawartej w pracy prof. Jerzego Sawickiego. Jest rzeczą niemożliwą z tego względu, że omawiana książka stanowi zbiór syntetycznych, głęboko ujętych szkiców monograficznych z zakresu stosunków międzynarodowych, prawa międzynarodowego, prawa karnego i pokrewnych nauk pomocniczych.

Taka forma opracowania tematyki w omawianej książce prof. Jerzego Sawickiego czyni z tej książki pozycję o nieprzeciętnej wartości dokumentarnej, politycznej i prawnej. Książka wnosi trwałe wartości. Nie będzie jej można pomijać zarówno w pracy publicystycznej, jak i naukowej w zakresie tych zagadnień, które objęte są zawartymi w niej szkicami monograficznymi.

W ramach niniejszego krótkiego jej omówienia warto zadać sobie pytanie — co wnosi książka prof. Jerzego Sawickiego dla potrzeb chwili obecnej w zakresie oceny stosunków międzynarodowych?

*

Przede wszystkim należy podkreślić, że omawiana książka wypełnia ogromną lukę w materiale t.zw. niemcoznawczym w naszym ruchu wydawniczym. Z każdej strony tej obszernej książki — liczy ona 263 strony stosunkowo drobnego druku — wynika potwierdzenie uwag autora zawartych we wstępie do niej. Prof. Jerzy Sawicki zwraca mianowicie uwagę na ogromny zalew niemieckiej literatury rewizjonistycznej, występujący na rynkach księgarskich świata kapitalistycznego. Główny cel tej literatury zachodnio - niemieckiej stanowi rehabilitacja hitlerowskich zbrodniarzy wojennych oraz przygotowanie ideologiczne, gospodarcze i polityczne odbudowy armii zachodnio - niemieckiej, jak również propagowanie programu rewizjonizmu, skierowanego przeciwko państwom Europy wschodniej.

Jak wynika z dokumentacji omawianej książki — do tej pracy w Niemczech zachodnich wprzęgnięte zostały nieprzeciętne pióra — pisarze, publicyści, historycy, prawnicy — całe instytuty i zespoły naukowe. Jedynym celem tej olbrzymiej pracy propagandowej jest przygotowanie podłoża do remilitaryzacji Niemiec zachodnich i ideologiczne przygotowanie podstaw do nowej agresji imperializmu niemieckiego.

To stwierdzenie oświetla dodatkowo ogromną wartość publikacji prof. Jerzego Sawickiego, zważywszy, że nasze wydawnictwa w tym zakresie są raczej rzadkie i ubogie. Warto tutaj podkreślić — na marginesie lektury omawianej książki — że wśród polskich czasopism zaledwie dwa poświęcają systematycznie uwagę problematyce zachodnio - niemieckiej. Są to: „Przegląd Zachodni" — organ Instytutu Zachodniego w Poznaniu oraz „Sprawy Międzynarodowe" — organ Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie. Wystarczy wziąć do ręki jeden numer każdego z tych czasopism, aby odpowiedzieć na pytanie, czy spełniają one swe zadania w sposób dostateczny.

Lektura tej książki wiąże czytelnika w niezwykle ścisły sposób z rozwojem bieżących wydarzeń.

Na wiadomość o podpisaniu traktatu państwowego z Austrią oraz na wiadomość o projektowanym spotkaniu szefów czterech mocarstw — giełdy zachodnie zareagowały wielką obniżką kursów monopoli zbrojeniowych. Co to oznacza?

W omawianej książce Jerzego Sawickiego znajduje się interesujący rozdział pt. „Tajny raport Generała Taylora. Z za kulis ocalenia przemysłowców". Autor ujawnia tam rewelacyjne materiały na temat ochrony zbrodniarzy wojennych — wielkich przemysłowców i finansistów niemieckich, angielskich i amerykańskich. Przedstawia dokumentację, z której wynika, że w okresie wielkich procesów norymberskich dwa mocarstwa — ZSRR i Francja — wypowiadały się za serią procesów międzynarodowych również przeciwko zbrodniczym monopolistom przemysłowym i bankowym. Jak wynika z tej dokumentacji rząd amerykański czynił wszystko, by do tych procesów nie dopuścić. Kierował się przy tym względami na „niebezpieczeństwo" — że przewodniczącym w takim procesie mógłby zostać Rosjanin lub Francuz. Urzędowe stanowisko amerykańskie w tej sprawie zawiera między innymi zwrot: ...„Z naszego amerykańskiego punktu widzenia taki proces przemysłowców da małe korzyści, a ryzyko jego może być olbrzymie. Żywię obawy, czy długi publiczny atak — który prywatny przemysł ściągnie na siebie w czasie takiego procesu — nie przyczyni się do zniechęcenia przemysłowych karteli do współpracy z naszym rządem, przy zbrojeniach związanych z naszą obroną w przyszłości...". Tak pisał przedstawiciel Stanów Zjednoczonych do prezydenta USA dnia 13 maja 1946 r. Wskutek tego stanowiska rząd amerykański uczynił wszystko, by monopoliści przemysłowi i finansiści, odpowiedzialni za niejedną zbrodnię wojenną, nie byli sądzeni przed Trybunałami Międzynarodowymi. W ten sposób nikogo z tej grupy zbrodniarzy wojennych nie uznano winnym przygotowania agresji. Ostatecznie przed sądami międzynarodowymi odpowiadali niektórzy wykonawcy wielkich monopoli zbrojeniowych — podczas gdy ich mocodawcy pozostali nietknięci.

Książka Jerzego Sawickiego wyjaśnia na podstawie sensacyjnej wprost dokumentacji cały mechanizm ochraniania wielkich monopoli przemysłu zbrojeniowego i wielkich finansistów niemieckich — oraz ich zaplecza amerykańskiego. Ta dokumentacja ma wartość bieżącą. Przewijają się w niej nazwiska i nazwy monopoli amerykańskich występujące również i dzisiaj — w momencie przygotowywania nowej armii w Niemczech zachodnich i reorganizacji przemysłu zachodnio - niemieckiego dla celów nowej agresji imperialistycznej. O tych analogiach można generalnie powiedzieć to, co autor książki formułuje — kończąc analizę sylwetki Schachta: „...Kontynuując swą starą grę finansuje on stary Wehrmacht i nowe zbrojenia. On oczywiście ryzykuje już bardzo mało. Ale jego klienci...".

Jeżeli ktokolwiek pragnie, w świetle tych krótkich uwag, uzyskać odpowiedź na pytanie — dlaczego nastąpiła obniżka kursów akcji monopoli zbrojeniowych w ostatnich tygodniach — to nie może znaleźć odpowiedzi nie przeczytawszy rozdziału pt. „Osobliwa transakcja rodu Kruppów" w omawianej książce. Rozdział ten zasługuje na odrębne szczegółowe omówienie w jak najszerszym wachlarzu polskich czasopism. Krupp — jeden z największych zbrodniarzy wojennych — uniewinniony od odpowiedzialności za przygotowanie i planowanie wojny agresywnej jest przedmiotem akcji rehabilitacyjnej w niezwykłym stylu. Nawet obecny prezydent Niemieckiej Republiki Wojskowej, Heus, pisze o nim, że „...dusza jego potrafiła harmonijnie zespolić twarde wymagania wobec siebie samego z troską i pieczołowitą opieką, jaką otaczał swych robotników". Jeden z teologów zachodnio - niemieckich, występując w obronie Kruppa, dochodzi do takiego wniosku — jeżeli przemysłowcy zawinili w czymkolwiek, należy z powodu masowości tego zjawiska „pozostawić przeszłość sądowi boskiemu". Jeżeli chodzi o sąd ludzi ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec zachodnich. to wyraża się on w stworzeniu Kruppowi możliwości przygotowywania przemysłowego nowej wojny. Ten cel do tego stopnia zaślepia organizatorów nowej wojny, że zapominają oni o konieczności zachowania jakiejś proporcji. Wystarczy tutaj przytoczyć fakt, że dnia 4 marca 1953 r. podpisana została umowa, nie mająca zapewne precedensu. Jest to układ między osobą prywatną — Kruppem, a trzema komisarzami alianckimi, reprezentującymi Stany Zjednoczone, W. Brytanię i Francję, działającymi w imieniu swych rządów. Umowa ta przywraca w całości olbrzymi kartel zbrojeniowy zachodnio - niemieckiemu zbrodniarzowi wojennemu.

Kilka cennych rozdziałów o charakterze uźródlonej monografii poświęca prof. Jerzy Sawicki rozszyfrowaniu jednego z zasadniczych składników psychologicznego przygotowania nowej wojny w Niemczech zachodnich. Skupia on głównie uwagę na wszelkiego rodzaju pamiętnikach, ukazujących się w ostatnich latach w państwach kapitalistycznych. Jest to ogromna literatura. Z oskarżonych w procesie norymberskim siedmiu zbrodniarzy wojennych ogłosiło w ostatnich latach pamiętniki: Frank, Fritsche, Schacht, Hess, Papen, Rosenberg, Ribbentrop. Autor słusznie podkreśla, że nic w tym dziwnego, iż wdowy i dzieci po tych zbrodniarzach chcą także tą drogą poprawić swą pozycję materialną. Zwracając na to uwagę pisze prof. Jerzy Sawicki:

„Ich ludzki smutek i zrozumiały żal po stracie osób najbliższych uzasadniałby w dużym stopniu... usilne starania o przesunięcie świateł i cieni do takich proporcji, by konterfekt uwiecznionej w pamiętniku lub listach osoby wypadł bardziej na korzyść każdorazowego ich bohatera. Tak więc działalność literacka tej grupy powinna być dla nas raczej obojętna... Jest też tylko względnie interesująca jeżeli chodzi o możliwości zdobycia garści nowych szczegółów dotyczących zarówno początku agresji hitlerowskiej na Poslkę, jak i mechanizmu działania państwa agresorów... Nie mogą... budzić zbyt wielkiego zaufania, jako wartościowe źródło historyczne. W każdym razie jądro dziejowej prawdy można by z nich wyłuskać dopiero na podstawie drobiazgowej analizy i dokładnego porównania kłócących się ze sobą relacji. Taka analiza powinna stanowić domenę badań naszych historyków, którzy je niewątpliwie podejmą..."

Jaki jest istotny sens publikowania tych najrozmaitszych pamiętników hitlerowskich zbrodniarzy?

Analiza dokonana przez prof. Jerzego Sawickiego w kilku pasjonujących wprost rozdziałach jego książki wykazuje niezawodnie — że celem tej literatury pamiętnikarskiej jest wyciągnięcie propagandowych wniosków na rzecz rewizjonizmu neohitlerowskiego wobec Polski, Czechosłowacji i ZSRR. Pamiętniki te wypaczają prawdę historyczną, przedstawiają dokumentację nie mającą żadnego uźródlenia historycznego — ale za to odpowiadają programowym celom organizatorów Niemieckiej Republiki Związkowej. Psychologiczne przygotowanie neohitlerowskiej armii do ataku na państwa wschodniej Europy — oto dominujący cel tych publikacji.

*

Spośród wnikliwych syntez w książce Jerzego Sawickiego na czoło wysuwa się — w zakresie problematyki remilitaryzacji Niemiec zachodnich — studium pt. „Koniec ekstradycji i początek sztabu". Sam tytuł tego studium zawiera niezwykle treściwe ujęcie zagadnienia. Na ogół nie dostrzega się bowiem faktu, jakie związki przyczynowe istnieją między ochroną zbrodniarzy hitlerowskich przez mocarstwa zachodnie, a tworzeniem nowej armii w Niemczech Zachodnich.

Prof. Jerzy Sawicki na podstawie materiału faktycznego i prawnego przedstawia w tej części swej książki początki obecnego sztabu neohitlerowskiej armii w Niemczech zachodnich. Nawiązując do wyroku norymberskiego przypomina autor, że sztab generalny i naczelne dowództwo hitlerowskie są — według tego wyroku — odpowiedzialne za nieszczęścia i cierpienia milionów ludzi. Te dwie organizacje stanowią hańbę dla uczciwego rzemiosła wojennego. Bez ich wojskowego kierownictwa agresywne ambicje Hitlera pozostałyby w sferze akademickich rozważań i nie miałyby następstw. Te dwie organizacje wojskowe brały czynny udział w przestępstwach lub milcząco były świadkami popełniania zbrodni w tak wielkiej skali i tak odrażających, jakich świat dotychczas nie widział. Te sformułowania wyroku norymberskiego zasługują obecnie na przypomnienie. Te dwie organizacje imperialistycznego militaryzmu niemieckiego — wraz z całym szeregiem zbrodniarzy hitlerowskich — wchodzą obecnie do różnych sztabów NATO.

Propaganda zachodnio - niemiecka pracuje obecnie pod hasłem: „Dyplomacja bez żołnierzy, to jak orkiestra bez muzyków". Ci „muzycy" kanclerza Adenauera — to najbliżsi współpracownicy kanclerza Hitlera. Te same nazwiska, ci sami ludzie, te same poglądy, te same metody szkolenia wojska — inni rozkazodawcy, tym razem bezpośrednio są nimi przedstawiciele imperializmu amerykańskiego.

*

Wydawnictwo Min. Obrony Narodowej oddając czytelnikowi cenną publikację prof. Jerzego Sawickiego wprowadziło do naszej literatury polityczno - prawniczej pozycję o trwałej wartości.

*) Sawicki Jerzy: „Od Norymbergi do układu paryskiego" — Za kulisami niemieckiego rewizjonizmu. Okł. obw. W. Lewiński. Wyd. I. W-wa 1955. MON, str. 263, 2 nlb. Cena zł 15.40. Nakł. 3.000.

ZEPSUTE ZABAWKI

(Dokończenie ze str. 5)

żej? Stanął bez ruchu, gdy zbiegł leżał jak kłoda, nie dając znaku życia.

Do rozciągniętego na śniegu przestępcy było jakies dwadzieścia kroków. Leśniczy podszedł do niego, trzymając fuzję w pogotowiu. Zbiegł leżał wciąż nieruchomo. Matysiak trącił go fuzją i pochylił się nad nim. Wówczas zbieg otworzył prawe oko i nagle zerwał się na nogi.Leśniczy podniósł fuzję i krzyknął znowu; stój, ale przestępca zwalił się już na niego całym ciałem. Matysiak poczuł, że coś mocno sparzyło mu bok, a zbieg przypiął narty i ruszył w dół.

POŚCIG

WRÓD żołnierzy, którzy udali się a poszukiwanie zbiega, jechał starszy szeregowiec, Krzysztof Aciejewski. Do wodospadu Kamieńczyka zjeżdżał jak tylko mógł najszybciej. Jeżeli teraz nie złapie przestępcy, to ten wymknie się już chyba z rąk sprawiedliwości.

— Muszę pomścić śmierć Matysiaka! — postanowił.

Za wodospadem widać już było pierwsze sylwetki wczasowiczów na nartach. Niełatwo będzie poznać wśród nich zbiega. Aciejewski zatoczył szeroki łuk i puścił się w dół od wodospadu Minął po drodze kilku narciarzy. Żaden z nich nie śpieszył się.

Ale oto w oddali mignęła sylwetka kogoś, kto śpieszył tak jak on. W tej chwili zboczył w las koło huty.

— Mam go! — pomyślał Aciejewski i zdwoił wysiłek Na dole miarowo poruszał kijkami. Wjechał w las. Tu zobaczył porzucone narty i zakrwawioną wiatrówkę. O parę kroków przed nim spokojnym krokiem szedł stateczny wczasowicz. Zapytany o dokumenty, zdziwił się bardzo niemile. Zamiast dowodu osobistego wyjął pistolet.

Przed południem Aciejewski przytrzymując automat krwawiącą ręką przyprowadził do strażnicy mordercę leśniczego, ostatniego z przestępców, którzy chcieli tego dnia przekroczyć granicę.

*

ZABAWKI właściciela wrocławskiego sklepu zostały zepsute. Zepsuto je właśnie w chwili gdy przekraczały granicę, aby dostać się do swego właściciela za Szprewę.

Trudno powiedzieć, gdzie on się w tej chwili znajduje. Być może, iż wykańcza nową serię zabawek, aby rzucić je na rynek w korzystnej chwili. Może właśnie chodzi teraz po jednym z niemieckich obozów dla „uchodźców" z Polski i natarczywie pyta:

— Zastanawia się pan? Po co? Czeka na pana takie wspaniałe życie... Trzeba się tylko zdecydować!

Wojciech Staszewski

ALFRED GERARD

MARCHOŁT — czyli parada włóczęgów

ZACZYNA się dobrze, to znaczy: pod kwitnącym drzewem. Stoi tu kilku włóczęgów, patrzą na białe gałęzie, a Marchołt głośno rozmyśla. Mówi dźwięcznym, potoczystym wierszem. Ale nie sądźcie, że jest to scena liryczna. Brandstaetter potrafił tu zatrzeć granicę pomiędzy liryką a filozofią... Co zrobił? Otóż sprzęgnął ze sobą nurty. wywodzące się przecież spod innego znaku. Prześliczne to wyszło, ale powstrzymam się od komplementów. Za wcześnie na nie. Lecz najpierw kilka słów o bohaterze tej rybałtowskiej komedii. Przyznaję, że Marchołt, zaciekawił nas dopiero wówczas, gdy poczuł się źle w swojej skórze i zaczął rozważać możliwość przyjęcia innej postaci.

Jakiej? Zbyteczne pytanie. Wszak wiecie, że poeta niejako przemienia się w to, na co patrzy. Już Tuwim uczył nas, że cały sekret polega na tym, aby wtargnąć wewnątrz i utożsamić się z przedmiotem swoich upodobań.

Zasadnicze pytanie brzmi tak: Czy osiągać swą pełnię tam, gdzie wypadło nam zapuścić głębokie i mocne korzenie, czy też żadnego ogrodu nie uznać za swój własny? Wciąż przeskakiwać przez płoty w poszukiwaniu innego wymiaru? Irzykowski pasjonowałby się tym dobrym początkiem sztuki Brandstaettera. I my zaczynamy lubić bohatera za to, że on nie porafiłby poprzestać na samym sobie, że wciąż by się przeistaczał i zmieniał. Ma rację. Zazdrości temu, co w jego oczach rozkwita. Tak. W tym momencie dojrzewa w nim człowiek. Słuchamy dalej życzliwie. Fascynuje nas psychologia włóczęgi jako zjawisko społeczne.

Ciekawe z jakich sugestii rodzą się takie kreacje? Marchołt tylko pozornie próbuje wyjść poza społeczeństwo. Ten ludowy bohater staje się sędzią swej feudalnej epoki. Nie godzi on we wszelki ład, tylko w strupieszałą strukturę społeczną... Przyznajmy, że psychologia włóczęgi, mimo to dalej istnieje. Tu tkwi jakiś intrygujący dylemat. Wiemy, że w każdym pokoleniu odnaleźć można pewien procent ludzi organicznie niezdolnych do jakiejśkolwiek stabilizacji życiowej. Istnieje urodzaj na sowizdrzałów, obwiesiów, obiboków i to we wszystkich sferach. Nie tylko dziś, ale zawsze. Ten problem ma swoją historię.

Bądźmy szczerzy. Któż z nas nie musi od czasu do czasu pokonywać i dławić w sobie cygana? Ten zdrowy pociąg do zmiany sposobu życia świadczy o wzroście siły witalnej. Bez tej namiętności człowiek przestaje być sobą. Ożywia go kontakt z nieznanym, zabija nuda codzienna. Kto nigdy nie próbował wyskoczyć z kieratu, ten nic wielkiego nie stworzy.

I wcale nie trzeba tu daleko sięgać. W każdym mieście istnieje wiele rzeczywistości niepodobnych do siebie i zasadniczo odmiennych. Twórczość polega na przekraczaniu swej miary, na ciągłym dążeniu do wyjaśnienia tego, co niepojęte. Włóczęgostwo — to tajemniczy proceder, dwuznaczna i kłopotliwa tradycja.

Kiedyś zetknąłem się z czymś... Ale nie wiem, czy wypada o tym opowiedzieć? Myślę o jaskółkach, o zdumiewającym i nieodgadnionym sprzysiężeniu dziewcząt, które w porze wiosennej uciekały z domu po to, by razem wędrować. Pamiętam, że gnał je niepokój trudny do uśmierzenia w młodości.

Jaskółki. Jakże tu o nich nie wspomnieć?... Wszak te, co wystąpiły w sztuce Brandstaettera, też śmiały się w sposób szczególny, zalotny, piskliwy, ćwierkający, ptasi. Jak to wszystko doskonale grało. Idźcie i posłuchajcie dziewczęcego śmiechu w ich niesłychanie figlarnej interpretacji, rzec by się chciało chóralnej. Któż to jest, myślę sobie, i kto ich tego chichotu wyuczył? Czy same tak się dobrały? Zaglądam do programu; Szantyrówna, Stawińska i Seredyńska... Tylko w chińskim teatrze słyszało się ten przenikliwy pisk jaskółczy wydobyty tak czysto i świeżo. Ogromnie nas tym ubawiły, a mieliśmy o czym rozmyślać.

Dobry wiersz to zawsze jakaś „biblia cygańska" w takim czy innym wydaniu.

Co chwila przypominamy sobie Villona — obwiesia i oberwańca, króla sowizdrzałów! I kto wie, czy pradawnym współczynnikiem ciągle odradzającej się pieśni do dziś dnia nie pozostał ów rytm niekończącej się nigdy podróży? Lecz tu mówimy wciąż o poezji nieledwie jarmarcznej, czyli o pierwowzorze wielkiej satyry ludowej... A chyba dopiero w XIX wieku zwycięża to przekonanie, że do rozwoju życia potrzebne jest wyszydzenie jego form przestarzałych.

Być może, naszym dobroczyńcą jest ten, kto nas bezustannie przedrzeźnia. Bez trefnisiów nie potrafimy się obejść. Śmiech działa oczyszczająco, obrzydza i unicestwia wiele dostojnych grymasów. W atmosferze śmiertelnej powagi konserwuje się zwykle jakieś straszliwe nudziarstwo. Dobry dowcip sprzyja rozwojowi, on ją nawet czasami wyprzedza i nie pozwala jej skostnieć. Czego Marchołt nienawidzi? Konstrukcji i stabilizacji — powiecie. Tak, lecz wie on, że feudalizm nie przetrwa. Marchołtowi towarzyszy stale poczucie względności, a z tego przecież rodzi się inteligencja. W sztuce Brandstaettera drwina stanowi współczynnik nieuniknionej przemiany poglądów. Marchołt, to socjologia humoru. Inaczej trudno go pojąć. Bo cóż znaczy ta cała historia jarmarcznego wieszcza i awanturnika, poszukiwanego przez władze za paszkwil śmiertelny dla wielu współczesnych? Ten człowiek wraz ze swoją bandą wymyka się wszystkim ówczesnym konwencjom, żyje na pograniczu bluźnierstwa i kpiny, wciąż tylko przedrzeźnia i drażni, rozjusza najpotężniejszych w narodzie.. I tu znów wartość wielkiej postępowej sztuki mierzy się jej zdolnością wzbudzania żywiołowego protestu. Ten niebezpieczny artysta staje się prawdziwym mistrzem prowokacji. Pieśń jego zagraża i boli. Podoba się tylko życiowo przegranym i upośledzonym. Lecz oni w tym momencie jeszcze nie decydują o niczym. Nie mogą swojego barda osłonić. Tymczasem tęsknota do innego życia przenika wielu ludzi. Odnajdujemy ją nawet u miejscowych dostojników. Nie tylko śmieszny sowizdrzał, także brzuchaty pan burmistrz pragnie ulecieć w powietrze. Raz wreszcie przebrać swą miarę i znaleźć się w zupełnie nowej sytuacji! I choćby zobaczyć takiego, który wysoko pofrunął! Prawdziwie ikarowski motyw zakończony dość niewybrednym oszustwem. Marchołt obiecuje poszybować w chmury, lecz przed tym wyłudza od rajców dukata i znika nie dokazawszy swej sztuki. Strażnicy poszukują go. Sam sędzia bierze udział w pościgu za zbiegiem. I cóż? Kompletnie pijany spotyka go w jakiejś przydrożnej oberży, nie wie, z kim ma do czynienia, wkrótce też, odurzony, głęboko zasypia. Marchołt przebiera się w jego szaty, wykrada mu plenipotencje, i sam występując w roli sędziego poleca swego prześladowcę uwięzić. Ogłasza, że schwytał Marchołta. Co więcej; osobiście sprawuje w Lublinie sąd i sędziego, który miał go zgubić, skazuje na szubienicę. I dopiero w momencie, gdy już zamierzają wieszać ofiarę, wojewoda poznaje wielkiego dostojnika i każe zdjąć mu stryczek. Robi się wielki rumor i gwałt niesłychany, ale Sowizdrzała nie ma. Zawieruszył się już gdzieś ze swoją bandą, dopiero co wypuszczoną z więzienia.

Jednakże smak tej komedii nie zawiera się w anegdocie i akcji, lecz w czymś zupełnie innym. Jest to szczególna historia, typowa właśnie dlatego, że ukazuje nam... całkowicie przeobrażone proporcje. W komedii widać świat wywrócony do góry nogami, ciągłą zamianę ról, przeinaczenie hierarchii i funkcji życiowych. Każdy staje się tu nagle innym, włazi w cudzą skórę i czuje się w niej doskonale. Czy śmiech usposabia sceptycznie? Słyszałem takie uwagi. Notuję je i odpowiadam: człowiek, który nie wątpi, nie sprawdza słuszności własnych założeń, właśnie dlatego pozbawia je wpływu na życie i w rezultacie przegrywa. Zapomina, że jego własna prawda posiada wiele odnawiających się ciągle postaci, że nie zaszkodzi jej ani śmiech pusty, ani nawet celne i dokuczliwe szyderstwo. Z chwilą gdy ono zanika, ginie w kleszczach schematu, towarzyszy nam zastój i nuda. Tu warto zaryzykować twierdzenie, że życie samo wyłania z siebie to, co jego postać zniekształca, ośmiesza i rani. Na to, by się poznać i uwolnić od własnych grymasów człowiek musi ustawicznie przedrzeźniać sam siebie i naigrywać się ze swojej pozy dostojnej (zanim inni zrobią to lepiej). Tylko zjawiska wytrzymującego próbę śmiechu można traktować na serio. Marchołt posługuje się tym odczynnikiem niemal przy każdej okazji. Nie chce ugrzęznąć w codziennej nudzie i miernocie, nie umie krążyć po tych samych torach, musi ciągle przebierać swą miarę, wyskakiwać z orbity. Pociąga go to, co nieznane, nie to, co można określić. Dlatego został poetą. Niebezpieczny jest on na pewno, gdyż nie mieści się w żadnej podziałce; nie potrafi się nigdzie ustalić, ani poprzestać na tym, co mogłoby go ograniczyć. Jest zaprzeczeniem mieszczańskiej stabilizacji życiowej. A taki się zawsze podoba. Nie będziemy jednak bezbronni wobec jego zdradliwych uroków. Nasz bezkrytyczny entuzjazm dla wykolejeńca, to jeszcze jedna odmiana snobizmu z gatunku tych przestarzałych i miernych. W każdym społeczeństwie rodzi się pewien procent włóczęgów i błaznów. Na to nie ma rady, bo te kreacje należą, że się tak wyrażę, do typowego kompletu istnienia i mogą powstać wszędzie...

Któż nie ma w swoim otoczeniu kogoś, kto z niego kpi w żywe oczy? Tak powinno być. Inaczej nie moglibyśmy się harmonijnie rozwijać. Egzystencja pozbawiona odczynnika drwiny musiałaby okazać się czymś przeraźliwie ponurym. Lecz środowisko złożone z samych trefnisiów i włóczykijów byłoby nie do zniesienia Przede wszystkim nie byłoby komu przedrzeźniać. Bo kiedy człowiek staje się zabawny? Wtedy gdy zaczyna traktować swą własną wielkość na serio. Na to nie wolno pozwolić. A przecież satyra — to element przywracający nam utracone poczucie proporcji w odpowiednim momencie.

Ale gdzież jest współczesna kreacja wielkiego włóczęgi? Czyżby naprawdę zanikła? Nie bardzo chce się w to wierzyć Podobno współczesna łatwość komunikacji stopniowo uśmierza te anarchistyczne skłonności w człowieku. Kto wie? Przychodzi mi na myśl, że chuligaństwo jest zwyrodniałą postacią, jakiejś niewyżytej pasji. Ba. Lecz kto potrafi ją nazwać i przeobrazić? I co zrobić z człowiekiem, który chce zerwać ze swą stabilizacją życiową za wszelką cenę, a przygoda nie zjawia się na czas?

Człowiek to dziwna ptaszka — powtarzamy za Iwaszkiewiczem wychodząc z teatru na Pradze. Niczym go nie nasycisz. I zawsze w końcu się wymknie. Zrobi to, czego się nikt nie spodziewał. A więc — z sowizdrzałami ostrożnie. Sowizdrzał siedzi w każdym z nas i odradza się w coraz nowej postaci. Musimy stale go w sobie ujarzmiać. Ale od czasu do czasu wypada zrobić mu małe wakacje. Pozwolić żeby pokazał kim jest.

Alfred Gerard

JERZY OLKIEWICZ

PEJZAŻE NIENAMALOWANE (1)

Roman Madejski — Rynek Nowego Sącza.

Jerzy Olkiewicz — Bystrzyca Kłodzka.

1. MIASTECZKO

OGLĄDAJĄC świetne plenerowe zdjęcia z włoskich filmów, oglądając uliczki włoskich miast, kręte, wąskie, zabudowane starymi, malowniczymi domami, polscy malarze często wzdychają: ci Włosi, to mają ciekawy pejzaż — u nich jest bogaty malarski materiał. Gdyby malarze zamiast wzdychać pojechali np. do Bystrzycy Kłodzkiej — ślicznego miasteczka leżącego niedaleko czeskiej granicy — zobaczyliby, że można się zupełnie obejść bez Włoch, że w naszych granicach znaleźć można obiekty równie atrakcyjne i równie malownicze. Bystrzyca jest wyjątkowo ciekawa, ale miasteczek ciekawych — często zupełnie przez malarzy nieznanych — jest bardzo wiele. Okazuje się, że typowy dla Polski pejzaż, to nie tylko pobielana chata kryta słomą, na tle przyciętych wierzb. Już sam fakt przesunięcia naszych granic na zachód, wykluczył tę wyświechtaną typowość. Odzyskaliśmy tereny, które dla malarza przedstawiają ogromny materiał do eksploatacji, tereny w znacznym stopniu jeszcze przez malarzy nie odkryte. Jak dziwny jest w tej sytuacji fakt uporczywego trzymania się pewnych stałych miejscowości czy okolic wybieranych corocznie na pejzaż, np. nieśmiertelne Chmielno i Żuków dla malarzy sopockich. Wysłużony „motyw z Chmielna", to już niemal klasyczny, muzealny rekwizyt.

Miasteczko polskie ma swój bardzo odrębny, specyficzny charakter. Charakter egzotyczny dla każdego, kto przyjeżdża z większego miasta. I mimo, że nie ma właściwie cech niezmiennie powtarzających się na obszarze całej Polski — nie mówiąc już o odmienności Ziem Odzyskanych — jest jakiś nastrój, jakaś aura niemal że wszędzie powszechna. Na charakter polskiego miasteczka zwykle w małym stopniu wpływa architektura — ta przez bardzo duże „A" — architektura ceniona przez konserwatorów i historyków sztuki, historyczna i zabytkowa. Nie mamy wiele takich wysokiej klasy zabytków — Zamość, Kazimierz, Sandomierz to wyjątki. A jednak udział architektury w formowaniu charakteru jest bardzo znaczny. Jest to wprawdzie gałąź budownictwa, jaką nigdy się nie zajął i nie zajmie się żaden konserwator, mimo, że jest także historyczna. To chałupy, domy krzywe i mniej krzywe, drewniane i murowane, cała galeria rodzimego, spontanicznego i jakże polskiego budownictwa. To rynki nieprzytomnie zabudowane jednopiętrowymi przedziwnymi stworami, skleconymi z desek, malowanych koniecznie na ugrowy kolor. Zamiast ratusza — bo skądże miałby się tu znaleźć ratusz — stoi tam drewniane, wysokie wieżysko straży pożarnej. To place o czterech wyszczerbionych, nieregularnie zabudowanych ścianach, o jasno pomalowanych prostych domach z jaskrawymi szyldami i okiennicami. To domy, które w powszechnym pojęciu są obskórne i brzydkie, a których by nie wymyślił żaden architekt — tak są wyrafinowane w swojej przypadkowości. Naiwne produkty jakiegoś miejscowego cieśli czy murarza; domy fantastyczne, jak gdyby wyszły z akwareli Nikifora. Te domy, te rynki, te ulice polskiego miasteczka to może nie wielka architektura, ale z pewnością wielka poezja.

Zazdrościmy Włochom autentyczności ich filmów. Autentyczność, poza doskonałymi i mądrymi scenariuszami, poza świetną grą, polega na prawdziwym pokazaniu środowiska, na wykorzystaniu tych elementów, które są najbardziej malownicze, najbardziej filmowe. Dlaczego akcja polskiego współczesnego filmu nie może dziać się np. w Wołominie? To dobrze zakonserwowane podwarszawskie, arcy-polskie miasteczko poza ogromną fotogenicznością, potrafi dać to, czego nie zawsze wprawdzie szukamy — prawdziwy, barwny, soczysty przekrój przez życie prowincji.

Malarskie pojęcie malowniczości różni się nierzadko od malowniczości w powszechnym znaczeniu. Malarz boi się często tego, co zachwyca nie-plastyków. Boi się różowych wschodów i fioletowych zachodów słońca, boi się strumyków obsadzonych olchami, brzóz wczesną wiosną, wrzosowisk, miedzy pod lasem, gdzie przemyka zając, wodospadów, gór zakrytych mgłą, panoramy z Kasprowego Wierchu. Boi się tego, co jest konwencjonalnie poetyckie, boi się liryzmu, który prowokuje do westchnień i łez, boi się sztampy. Malarz odkrywa piękno plastyczne w mniej łatwych, mniej oklepanych motywach. Właśnie „odkrywa" piękno, pokazuje tym co go nie widzą, a nie naśladuje nieudolnie to, co budziło westchnienia w kilkuset pokoleniach ludzi. Zachód słońca, oryginalny zachód słońca, to już gotowy i najtańszy na świecie obraz. Malarz, który maluje jelenie i wodospady, to zwykle plastyk bardzo pośledniego gatunku, pacykarz, który ma wprawdzie powodzenie u klientów, ale nie ma wiele wspólnego z malarstwem. Lepiej kupić wypchanego jelenia, niż taki obraz — będzie prawdziwszy.

Malarska malowniczość. Wołomin czy Nowy Dwór, Chmielnik czy Słomniki, to bardzo malownicze miasteczka. Nie-plastyk powie: to bardzo brzydkie miasteczka. Kto ma rację? Chyba obie strony. Miasteczka te nie odpowiadają konwencjonalnym pojęciom piękna, ale mają wielkie bogactwo ciekawych motywów, mają swój wewnętrzny koloryt, mają nastrój jedyny i urzekający.

Ta ogromna ilość sklepów, sklepików, kiosków powszechna dla Centralnej Polski. Sodowiarnie, owocarnie, lodziarnie, które się na każdym kroku spotyka w Wołominie. Obfitość jatek mięsnych w Nowym Dworze. Wystawy, gdzie w wazoniku, naśladującym kryształ, stoją nieodmiennie żółte tulipany, obok parę cebul i jabłek, pęczek różowych lizaków, kilkanaście paczek budyniu i herbaty „Ulung". Dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne w rynku naprzeciwko siebie. Fryzjer reklamujący się gipsową, sur - realistyczną głową przykrytą peruką. Parę spółdzielni z zielonymi szyldami. Dobrze zaopatrzona księgarnia, w której zawsze znajdzie się jakaś rzadkość, niedostępna dla reszty Polski. Restauracje z ciemnymi firankami, z bufetem zaopatrzonym w niezmienne zakąski, z kwiatami wiszącymi na ścianie na drewnianych podstawkach, pokoiki gdzie ze zdziwieniem i z uznaniem spostrzega się na ścianie obok jesiennego landschaftu — reprodukcje Wyczółkowskiego, albo — tak jak nam się zdarzyło raz w ciągu dziesięciu dni — kolorowe reprodukcje Sisleya i Pisarra. I ulice, często nieregularne, wyboiste, zabudowane przypadkowo brzydkimi domami, ulice brzydkie, ale posiadające pewien urok, ulice sympatyczne, ulice bardzo malarskie.

Za poezję polskiego miasteczka, dostrzegalną dla przybysza płacą często mieszkańcy tych malowniczych, często obdrapanych, wilgotnych, ciemnych domów. Płacą najwyższą ceną: reumatyzmem i kawernami w płucach. Oni nie dostrzegają uroku swoich chałup, mają zupełnie coś innego w głowie; chcą mieszkać wygodnie i czysto, chcą mieszkać zdrowo. Cena poezji jest bardzo wysoka.

Plany przebudowy polskich miasteczek, likwidacja domów, które nawet jeśli się ich nie zburzy — rozpadną się za jakiś niedługi okres czasu, zabudowa miast zniszczonych w czasie wojny — to problem bardzo trudny. W jaki sposób likwidując dotychczasowe zaniedbanie, dotychczasowe warunki sanitarne, zachować w urbanistyce i architekturze ten łatwiejszy do określenia niż do odtworzenia małomiasteczkowy nastrój — niefrasobliwość i spontaniczność kompozycji miejskiej, pewną przypadkowość i różnorodność architektury narastającej w ciągu długich dziesięcioleci? W jaki sposób zachować coś z dawnej poezji tych miasteczek? Schematyzm i typowość mają tu wielkie pole do popisu. Jeśli zwyciężą, będzie to może z pewną korzyścią dla mieszkańców — ale ze stratą dla polskiej kultury.

Jerzy Olkiewicz

Wyjechaliśmy w dziesięciodniowy objazd samochodem po południowej Polsce zobaczyć tereny, które malarze nie często oglądają. Jesteśmy plastykami i w czasie drogi interesowało nas przede wszystkim to, co wiąże się bezpośrednio z plastyką. Naszą trasę wytyczyliśmy tak, żeby objęła możliwie największą ilość miejscowości ciekawych ze względu na swoje zabytki, swój pejzaż, czy swoje opuszczenie. Siedzieliśmy przez kilkanaście godzin w uszkodzonym samochodzie w rowie pod Kielcami. Kilkanaście godzin chodziliśmy po zaułkach Tarnowa. Oglądaliśmy gotyckie freski, które niedługo jeszcze — przy braku opieki — dochowają się w Czchowie. W Starym Sączu szukaliśmy Tuwimowskiej „bezblaskiej łyżeczki". Uciekaliśmy z Zywca ścigani przez paru staruszków, za to, że obraziliśmy Habsburgów. Nie gryzły nas plukswy w Rybniku. W Raciborzu podziwialiśmy kamienice odbudowane w stylu warszawsko - lubelskim. W Nysie — z trudem przejeżdżając przez zawalony gruzami rynek — oglądaliśmy wspaniałą katedrę, martwiąc się o jej niezabezpieczone stropy. Powątpiewając o autentyczności paczkowskich średniowiecznych murów i baszt — odnaleźliśmy baszty autentyczne w Bystrzycy. Trudno nam było opuścić cudowną Ziemię Kłodzką. Prędko wyjechaliśmy z Dzierżoniowa, żeby cisiąść w Świdnicy. Jedliśmy śledzie w Wałbrzychu, a nie udało nam się dostać obiadu w Kudowie. Przez pół nocy szukaliśmy noclegu w Brzegu, żeby go nie znaleźć we Wrocławiu. Przejechaliśmy 2000 km., kurę i koguta. Rozmawialiśmy z robotnikami, emerytami i wiejskimi malarzami, którzy sprzedają swoje obrazki po 7 i po 3 zł. Nie wiemy czy nasze wrażenia będą coś więcej warte.

Jerzy Olkiewicz — Tarnów

Miasteczka te nie odpowiadają konwencjonalnym pojęciom piękna, ale mają swój wewnętrzny koloryt, nastrój jedyny i urzekający.

Roman Madeyski — Tarnów.

Za poezję polskiego miasteczka płacą mieszkańcy tych malowniczych gęsto odrapanych, wilgotnych, ciemnych domów najwyższą ceną: reumatyzmem i kawernami w płucach.

Jerzy Olkiewicz — Nowy Dwór.